# ŚWIATOWID

28 GRUDNIA 1935 R
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR
W CZECHOSŁO
WACJI Kc. 2.20
nr. 52


# NIECH ŻYJE NOWY ROK 1936!



Halabardnik, spoglądający w Nowy Rok na stary Kraków.

AG. FOT. „ŚWIATOWID".

# Zaczyna się szaleństwo karnawałowe...



Fot. Francis C. Fuerst — Paris.

## Feljeton noworoczny.

Spotkałem starowinę w Noc Sylwestrową. Szedł ciężkim krokiem, pokaszlując i postękując. Na głowie miał hełm stalowy a ubrany był jak weteran z wielkiej wojny. Z ramion jego zwisała peleryna włoska, mocno podniszczona, okrywając mundur poplamiony błotem i krwią. Ciągnął za sobą na sznurku armatę i ze zmęczenia przystawał co chwilę.

Zainteresował mnie ten typek, więc zrobiłem z nim wywiad.

— Kim pan jesteś? — brzmiało pierwsze pytanie.

— Jestem rok 1935, brzmiała odpowiedź. Dziś mnie nikt nie poznaje a pamięta pan, co to było przed dwunastu miesiącami, jak mnie ściskano i całowano, gdy narodziłem się przy dźwiękach tanga i brzęku kieliszków. Przypuszczałem, że czeka mnie wspaniała przyszłość — wszak miałem tylu przemożnych protektorów—a przedewszystkiem bezpieczne i spokojne życie. Tymczasem rozczarowałem się na całej linji. Ledwo podrosłem trochę a już ubrano mnie w mundurek i zaciągnięto do organizacji wojskowej; zamiast uczyć mnie czytać i pisać, nauczono mnie strzelania z karabinu, a gdy wąsy puściły mi się pod nosem, wyprawiono mnie na wojnę, naprzód do Chin, gdzie pod komendą japońską tłukłem się z Chińczykami, a potem do Abisynji, gdzie musiałem znowu atakować poddanych króla królów. Mam dość tego wszystkiego i dlatego cieszę się, że idę na emeryturę i dobrze zasłużony chleb Ubezpieczalni.

— To pan był ubezpieczony?

— A jakże, ledwie narodziłem się, już kazano mi wypełnić kilkadziesiąt formularzy z Ubezpieczalni i wystawiono legitymację z fotografją i własnoręcznym podpisem. Całe szczęście, że płaciłem wkładki regularnie, bo teraz Ubezpieczalnia będzie bulić, ja zaś jako stosunkowo jeszcze młody emeryt poszukam sobie jakiejś innej posady... właśnie w Ubezpieczalni, bo tam takich przyjmują.

Wziąłem stary rok pod rękę i poszliśmy razem na zabawę Sylwestrową. Ja byłem przebrany za urzędnika, t. zn. zjawiłem się tylko w opasce na biodrach i z kozą na sznurku, jak Gandhi, a jego wzięto za rasa Guksę.

Bawiliśmy się doskonale a stary rok, podpiwszy sobie śmiał się w kułak, że zostawia swojemu następcy dziedzictwo nie do pozazdroszczenia.

— Będzie ten pędrak miał się spyszna, jak rozpocznie urzędowanie — już na wiosnę będą się na niego ludzie krzywić, w lecie sarkać, w jesieni kląć, a w zimie nie będzie się mógł pokazywać na ulicy bez asysty policji. Ja świat dobrze znam, jeszcze się ten nie narodził, ktoby wszystkim dogodził.

W tej chwili muzyka zagrała tusz, zgasło światło, a gdy zabłysło ponownie, rozigranym oczom tańczących ukazało się chłopię, trzymające w ręku chorągiewkę z napisem: Rok 1936 niech żyje!

Panie pochwyciły chłopca w ramiona i zaczęły go całować, a panowie klepali go po ramieniu. Nowy Rok zaś kłaniał się na wszystkie strony i oświadczywszy, że woli wino od mleka a pieczyste od ciastek, złożył przedewszystkiem wizytę pożegnalną staremu rokowi, usiadł przy okienku (poprzednio zaangażował sobie ładną maszynistkę), umieścił nad drzwiami tabliczkę: *„Nie zabieraj czasu pracującym, załatw sprawę i żegnaj“*, kupił sobie kilkanaście „koszulek na akty“ i rozpoczął urzędowanie.

Przyjmował podania, udzielał objaśnień, telefonował i flirtował z maszynistką aż do białego rana. Przedewszystkiem zaś zawołał mnie, jako przedstawiciela prasy i polecił, abym wszystkim P. T. Czytelnikom „Światowida“ złożył życzenia jak najszczęśliwszego Nowego Roku, bez obcięć, bez zniżek i przedwczesnych emerytur, negusowi i Mussoliniemu zaś zatelegrafował, aby pogodzili się i ucałowali po bratersku.

Gdy znalazłem się po zabawie na ulicy spotkałem znowu stary rok. Uśmiechał się szelmowsko i tak mi rzekł:

— Wie pan co, przyjęli mnie do Ubezpieczalni na referenta i dali papiery, abym ubezpieczył tego małego. Niosę mu też cały plik formularzy. Pęknie ze złości, zanim je wypełni. Ale niech i on wie, że życie nie jest romansem...

**Osęka.**

# W ZIMIE MORZE JEST ZŁE

Morze kusi, morze wabi, morze przyciąga. Cóż za rozkosz w letnie południe, gdy słońce zalewa ziemię potokami gorących promieni, wbiec po miałkim, delikatnym piasku w łagodną, orzeźwiającą toń, zanurzyć się w niej po szyję i płynąć powoli na spotkanie nadchodzących leniwych fal. Albo siedzieć na piaszczystej wydmie w cieniu pochyłej sosny i zatopić wzrok w bezkresnej błękitnej dali, lekko porysowanej ruchliwemi, białemi barankami.

A gdy słońce utonie za horyzontem i na ciemnym firmamencie zabłysną iskierki gwiazd, jakże cudownie jest patrzeć na morze, którego powierzchnia, jak łuska bajecznego węża, mieni się srebrem księżycowej poświaty. Nawet, gdy silniejszy wiatr zadmie od zachodu i powierzchnia morza najeży się grzebieniami srogich bałwanów, rozkosznie jest rzucić się z brzegu na ich spotkanie i bawić się własną bezsilnością wobec groźnego żywiołu. Bałwan wywraca, na brzeg spowrotem wyrzuca, bryzga słonemi kroplami, a w mizernej ludzkiej duszy budzi się radosne uczucie, że walczy z wrogą potęgą i że się jej nie poddaje.

Wszyscy znacie morze w letnich miesiącach. Jest piękne, jest kuszące, kochane i niezapomniane. Nawet, gdy burzy się i pieni, wzbudza zachwyt i podziw.

Mija lato i piękna nad morzem jesień. Letnicy opuszczają polskie wybrzeże, wracają do domów. Powoli zapominacie o morzu, nad którem spędziliście piękne, wesołe i rozkoszne tygodnie, a gdy je czasem wspomnicie, staje ono w pamięci spokojne, błękitne i łagodne.

Nadchodzi zima, opadają z drzew liście, niebo jest szare i dżdżyste, a od północy i północnego wschodu nadlatują porywy ostrego wichru. Zmienia się wówczas oblicze morza i takiem wy go już nie znacie. To kochane łagodne morze, jakiem je z lata pamiętacie, jest dziś złe i okrutne. Dmie wicher z całej mocy, aż nagle gałęzie drzew do ziemi przygina, gwiżdże wśród małych chatek rybackich i wielkich kamienic Gdyni, targa z wściekłością łańcuchami kotwic okrętowych i z wydm tumany piasku unosi.

Rozkołysało się szare morze — zdawałoby się, że z wnętrza jego wyrastają wysokie góry wodne i z szumem złowrogim pieniąc się i przewalając suną ku opustoszałemu wybrzeżu. Gdy góra taka dojdzie do lądu, wali się ciężarem setek ton wody, porywa miljardy ziarnek piasku i wgłąb odmętów unosi. A za nią sunie i spada druga, trzecia, czwarta, setna, tysiączna...

Uderza rozszalały żywioł w umocnienia, ludzką ręką zrobione, uparcie, z zacięciem bije w słupy i faszynowe zapory, wypłukuje glinę i piasek, targa prętami wikliny, aż wyrwawszy potężne słupy w niwecz zaporę obraca.

Na chwilę porywa pręty i połamane gałęzie faszyn, zmiele je w pienistym kotle i daleko na brzeg wyrzuci. A potem w skaleczony brzeg uderza, targa świeżą ranę, wygryza coraz głębszą wyrwę, aż podmyty brzeg wysoki runie w szalejące fale. Idą znów do ataku, kruszą większe bryły, uderzają w nie taranem i wgłąb morza wsysają. I trwa to długie godziny, dnie. Straszna jest moc niszczycielska morza.

Zmienia się kierunek wiatru i burza powoli cichnie. Długo jeszcze kotłuje się morze i złowrogie wydaje pomruki, długo jeszcze niszczy stargany brzeg. Wreszcie zmęczone, wygładza swą powierzchnię i dalej mruczy odwieczną pieśń, opowiadając tym, którzy umieją go słuchać, tajemnicze historje dalekich południowych krajów, legendy koralowych raf i cuda nabrzeżnych dżungli.

Poszarpane brzegi i oderwane bryły gliny ociekają drobnemi kropelkami morskiej wody. Załośnie nachyla się nad tem cmentarzyskiem podmyta sosna i przeczuwając niedługi już koniec, smutno kołysze gałęźmi. Nie straszny jej wicher, któremu przez setkę lat ostać się zdołała, nie straszne jej mrozy i burze. Zaglądę jej niesie to ciche i spokojne morze, co teraz u stóp jej szemrze. Raz, drugi wściekłą falą w brzeg uderzy, wyrwie z rodzimej gleby i w swe słone odmęty pochłonie. Nadsłuchują biedne drzewa, czy nie idzie od wschodu wiatr. Patrzą koronami w dalekie horyzonty, śledząc ciągnące po niebie chmury...

Leży na plaży czarna wstęga wodorostów, aż przyjdzie Kaszub z grabiami, zbierze je na kupkę, na ręczny wózek załaduje i wywiezie na pole jako nawóz. Skromna jest zapłata morza za wyrządzone szkody!

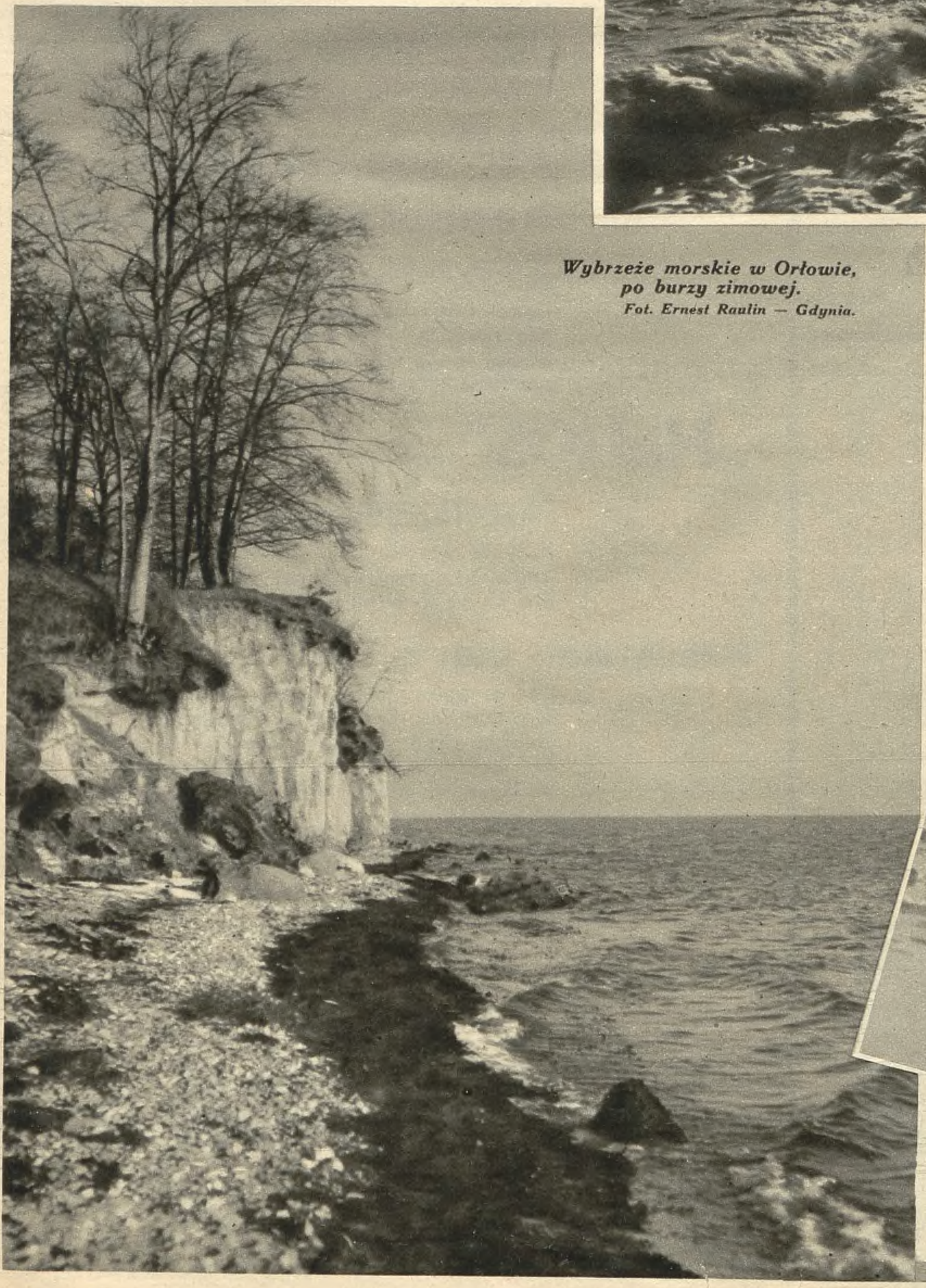
Przychodzi człowiek nad brzeg, ogląda szkody i poczyna przeciw nim zabezpieczać się. Z siłą niszczycielską morza walczy najskuteczniejszą bronią: kamieniem i betonem. Wznosi długie falochrony i zapory, zamyka brzegi kamienne obramowaniem. Wyrastają na polskiem wybrzeżu coraz dłuższe linje kamiennych fortec i bronią brzegów przed rabunkową potęgą morza.

Z brutalną pasją żywiołu walczy rozum i praca ludzka. Zacięta i trudna to walka, lecz zwycięży musi człowiek. Powoli, lecz systematycznie nakłada morzu wędzidła i coraz śmielej wygraża mu pięścią. Czy na długo? Straszna jest moc niszczycielska morza, a w jego głębiach drzemie bunt!

WN.



*Promenada nadmorska w Gdyni. Zdjęcie z grudnia b. r.*
*Fot. Ernest Raulin — Gdynia*



*Wybrzeże morskie w Orłowie, po burzy zimowej.*
*Fot. Ernest Raulin — Gdynia.*



*Port w Gdyni w okowach zimowych. Zdjęcie z 1933 r.*
*Ag. Fot. „Światowid".*

# Prosi dziaduś, prosi...



Popularną figurą w „Szopce Krakowskiej“ jest stary dziaduś, co to „pod kościołem Marjackim siada i kluski z olejem jada“. Taki dziaduś, to człek muzykalny, umiejący pięknie grać na harmonji i śpiewać. Głos ma zazwyczaj ochrypły, odpowiednio przepity, bo dziaduś lubi zaglądać do kieliszka, ale, gdy zacznie nucić nabożne pieśni, to babinom aż łzy stają w oczach i coś je ściska za grdykę. Dziaduś najchętniej usadawia się koło kościołów, albo w jakimś innym dogodnym punkcie, gdzie ruch duży. Apelując do miłosierdzia „litościwych osób“ trwa dziaduś przez długie lata na swoim posterunku i ciuła grosz do grosza. Najlepsze żniwo dla niego, to Zaduszki i Nowy Rok. Niestety w ostatnich czasach władze wzięły się ostro do dziadków, szczególnie w Warszawie, gdzie pousuwano ich z ulic i odesłano na prowincję. Niewesoły więc Nowy Rok mają dziadkowie.

*Fot. Feliks Nowicki — Kraków.*



Nowy szachowy mistrz świata, Holender dr. Euwe (po lewej) i zwyciężony mistrz dr. Aljechin śpiewają holenderski hymn narodowy po zakończeniu rozgrywek i rozdaniu nagród.

**Wide World Photos — Londyn.**

# ZDETRONIZOWANY KRÓL SZACHOWY.



*Dr. Maksymiljan Euwe.*

***Wide World Photos — Londyn.***

Miłośnicy gry w szachy — a są oni dzisiaj bardzo liczni we wszystkich warstwach społeczeństwa — z ogromnem zaciekawieniem śledzili przebieg walnej rozgrywki w Amsterdamie, pomiędzy dotychczasowym mistrzem szachów Aljechinem a młodszym jego, lecz coraz bardziej na pierwszy plan się wysuwającym rywalem, Holendrem Euwem. Od czasu, gdy Aljechin wydarł pierwszeństwo słynnemu Capablanca, uchodził wśród szachistów za niepokonanego arcymistrza, tylko „za kulisami" tu i ówdzie się mówiło, że i on, jak już niejeden z jego poprzedników, padnie ofiarą długotrwałego zbytniego naprężenia nerwów, któremu chce przeciwdziałać lekarstwem, groźniejszem jeszcze od choroby, alkoholem... Turniej Aljechin—Euwe toczył się przez dłuższy czas pod znakiem niezdecydowania. Szanse obu współzawodników były niemal że równe. Wszystko zależało od ostatniej partji. I w niej to zwyciężył Euwe, odnosząc świetny triumf nad rywalem.

# LIKAON, NAJRZADSZE ZWIERZĘ ABISYŃSKIE.



Abisynja jest prawdziwym rajem dla myśliwego, polującego na grubego zwierza. Ma on tam bowiem do dyspozycji lwa, lamparta, hienę, panterę, a oprócz tego mnóstwo odmian antylop.

Największą osobliwością świata zwierzęcego w Abisynji jest jednak likaon, będący mieszańcem lamparta i hieny. Monstrum to odznacza się niesłychaną krwiożerczością i ostrożnością. Ogromnie trudno je podejść. Zranione, rzuca się na człowieka.

Zdjęcie nasze przedstawia likaona, zabitego przez jednego z oficerów włoskich.



## POŚWIĘCENIE „PATRII" MISTRZA JANA KIEPURY W KRYNICY



W Krynicy odbyło się w tych dniach poświęcenie luksusowego hotelu-pensjonatu „Patrii", wybudowanego przez mistrza Jana Kiepurę. Aktu poświęcenia dokonał ks. prałat Duchiewicz, poczem państwo Kiepurowie, rodzice mistrza, podejmowali gości śniadaniem. Na zdjęciu państwo Kiepurowie w otoczeniu gości i personalu w hallu „Patrii".

# HINDUSKIE WESELE

**Reportaż niemieckiego podróżnika z Indyj.**

Jako architektom wypadło nam przez dłuższy czas budować w jakimś zapadłym kącie angielskich Indyj Wschodnich, setki mil od jakiegokolwiek większego miasta, pałac dla jednego z książąt indyjskich. Budowaliśmy go z zastosowaniem wszystkich środków nowoczesnego komfortu i stylu, a posługiwaliśmy się załogą, złożoną z tubylców, którzy niewątpliwie niedawno temu jeszcze z łukiem i strzałami buszowali po lasach, prowadząc normalne życie dzikusów. Bo nasi robotnicy byli ostatnimi już pewnie potomkami szczepu Bhilów, który przed wiekami, może przed dziesiątkami wieków panował tutaj, we wnętrzu Indyj angielskich, dopóki go Aryjczycy nie pozbawili i władzy i sił. Bhilowie nie poddali się najeźdźcom, cofnęli się w głąb lasów i tutaj żyli między sobą, pilnie wystrzegając się wszelkiego związku z przybyszami.

Dopiero gdy Anglicy, pewną nogą stanąwszy na indyjskim gruncie, rozpoczęli akcję, zmierzającą do uprzemysłowienia kraju — Bhilowie wyszli ze swoich leśnych kryjówek. Odrzucili precz łuki i strzały i — jak miljony ich pobratymców — pracują dzisiaj w fabrykach i na budowach, tem tylko od innych tubylców może się różniąc, że do dziś dnia skrzętniej niż inni bronią się przed wtargnięciem zdobywców w ich życie prywatne, a zwłaszcza w tradycyjne uroczystości.

To też niewątpliwie dowodem wdzięczności za to, żeśmy się z nimi zawsze dobrze obchodzili, było zaproszenie nas na wesele dwojga młodych ludzi z ich szczepu.

Bardzo wczesnym rankiem wybraliśmy się do nich. Ich wieś leży zakopana wśród lasów, ale już zdaleka dochodziły nas odgłosy śpiewów, muzyki i krzykliwych rozmów. Zgotowano nam bardzo uprzejme przyjęcie i z miejsca poczęstowano sokiem z trzciny cukrowej i „panami". „Pan" — to rodzaj cukierka, zawiniętego w liście, a smakiem przypominającego... korę z drzewa z domieszką nawozu krowiego. Trudno, trzeba było pokonać wstręt i wzorem gospodarzy wziąć tę smakowitą pastylkę w usta. — Gdyśmy już w ten sposób uraczyli się tem, czem chata była bogata, odezwał się warkot bębna, a na ten sygnał cała gromada w pląsach ruszyła naprzód. Szliśmy wszyscy do domu pana młodego. Wyszedł on z mieszkania, przybrany w czerwone szaty, trzymając przy twarzy maskę, tkaną ze złota i srebra. W tej chwili podszedł do niego najsilniejszy mężczyzna z gromady, pochylił się i wziął oblubieńca na barki. Tak musi go nosić aż do wieczora, bo w dniu zaślubin pan młody nie może iść pieszo. Z tym ładunkiem gromada tanecznym krokiem posuwała się dalej, aż stanęła przed domem panny młodej. W otoczeniu rodziny wyszła z chaty oblubienica zasłonięta zupełnie ciężkim welonem. Tymczasem przed domem ustawiono mały ołtarzyk z bambusu i liści. Krewni obojga państwa młodych składają tu podarunki dla nowożeńców, którzy stoją obok siebie. Wszyscy szczelnie obwijają się szatami a przyszła teściowa zarzuca nowożeńcowi na głowę dużą chustę i prowadzi go tu i tam. Akt zaślubin jest w ten sposób dokonany. Ale nowożeńcy nadal jeszcze muszą mieć zakrytą twarz i dopiero późnym wieczorem poznają się, co niekiedy tem większą jest niespodzianką, że starym obyczajem rodzice pana młodego kupują swoją przyszła synową, nie pytając się jej wcale o wolę.

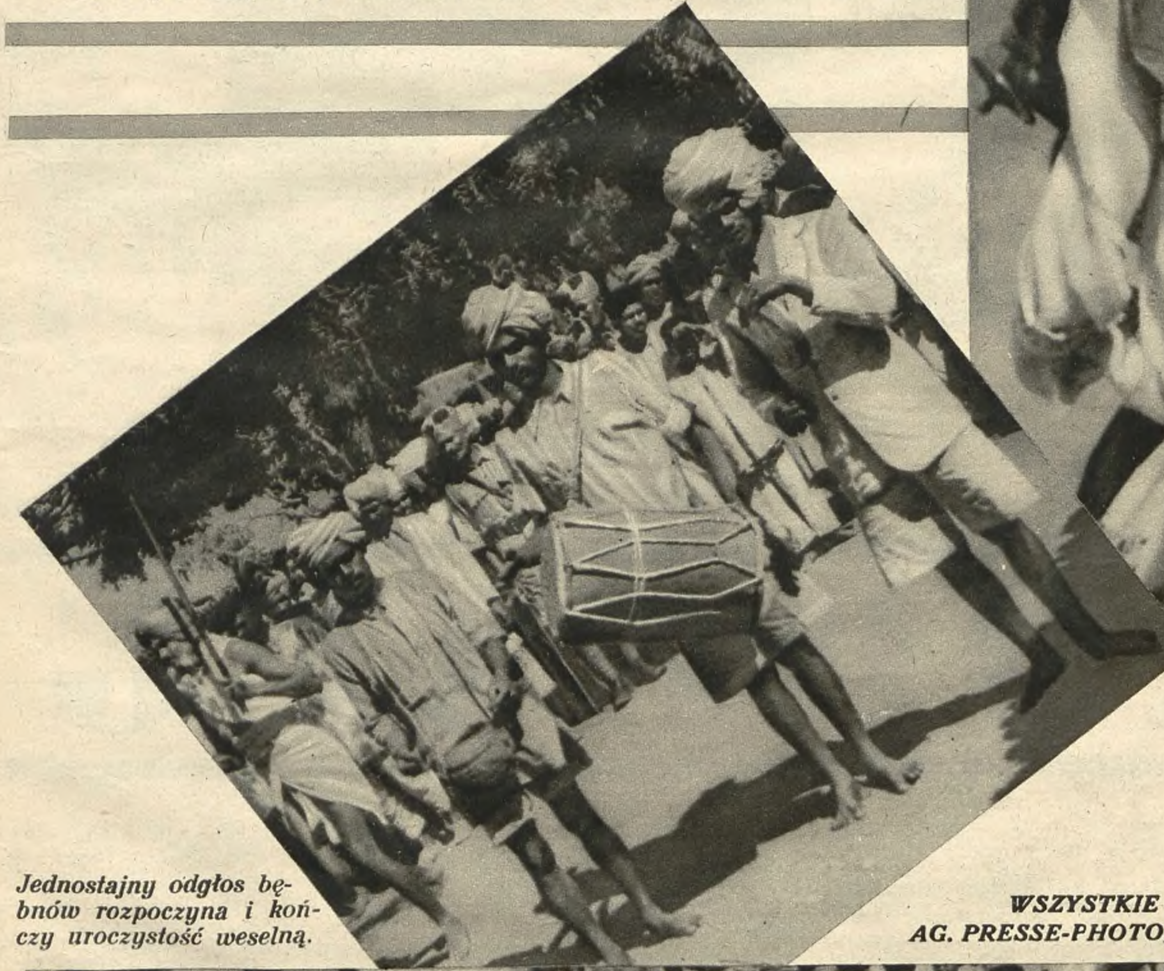
Znowu odzywa się bęben, ale już mniejszy. Rytm jego uderzeń jest coraz żywszy. Mimo, że słońce praży niemiłosiernie, cała gromada, potrząsając w górę mieczami, tańczy, to łączy się w pary i łańcuchy, to odskakuje od siebie, ale tańczy coraz szybciej w takt coraz szybszego rytmu bębna. Taniec ten trwa aż do zachodu słońca, kiedy tancerznicy z pianą na ustach, śmiertelnie znużeni, padają na trawę.

Tak się odbywa weselisko u szczepu hinduskiego Bhilów.

**Kurt H. (Bombaj).**



*Młoda para ze szczepu Bhilów poznaje się dopiero po ślubie, w chwili, gdy wolno obojgu usunąć zasłony z oblicza.*



*Jednostajny odgłos bębnów rozpoczyna i kończy uroczystość weselną.*

*WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. PRESSE-PHOTO, BERLIN.*



*Taniec weselny kobiet.*



*Negus przyjmuje we wspaniałym namiocie polowym raport oficerów.*

Atlantic-Photo, Berlin.



*Ambasador angielski w Addis-Abeba Sir Sidney Barton udaje się do negusa, aby zakomunikować mu francusko-angielskie propozycje zażegnania wojny.*

Keystone — London.



*Wielbłądy na postoju. Udają się one z transportem kawy na front.*

Fot. I. Scherapow — Berlin



*Gwardja defiluje przed negusem.*

Keystone — Paris.

# CO ZROBI NEGUS?



*Kapłani abisyńscy z Aksum. W tych dniach władze włoskie dokonały wśród nich licznych aresztowań, w związku z wykryciem spisku przeciwko Włochom.*

Fot. Roman Fajans — Asmara.

Podobno negus dowiedziawszy się, że Anglja i Francja ofiarowują Mussoliniemu pół Abisynji, prosząc go o zaprzestanie kroków wojennych, doznał wstrząsu nerwowego i długo nie mógł się uspokoić. Naturalnie, jak było do przewidzenia, król królów oświadczył, że nad propozycjami temi nawet dyskutować nie będzie, gdyż oznaczają one rozbiór Etjopji i koniec jej niepodległości.

Na szczęście w ostatniej chwili, tuż przed świętami, powiał dla negusa wiatr przychylniejszy i to zarówno z Londynu, jak i z Genewy. Opinja angielska bowiem nie mogła się z tem pogodzić, że nagle ni stąd ni zowąd, rząd Wielkiej Brytanji cofa się na całej linji, przekreśla wszystkie poprzednie enuncjacje i wynagradza napastnika kosztem napadniętego.

W Genewie znowu aż zawrzało z oburzenia, że w chwili, gdy 50 państw ponosi ciężkie ofiary, stosując u siebie sankcje przeciwko Włochom i narażając swój bilans handlowy na zwichnięcie, Anglja chwyta nagle za różdżkę pokoju i zaczyna nią kropić... negusa.

Trudno jest rządzić przeciwko opinji publicznej całego świata i dlatego Sir Hoare, powróciwszy z wywczasów zimowych w Szwajcarji, gdzie rozbił sobie nos na ślizgawce, podał się do dymisji.

Dymisja ta oznacza, że Anglja wraca do dawnej polityki, t. zn. do sankcyj bez względu na skutki, jakie te zarządzenia przyniosą.

Jak wiadomo zaś, Mussolini zapowiedział, że embargo na naftę, to casus belli, czyli rozpętanie zawieruchy wojennej w całej Europie, a kto wie, czy nie w całym świecie. Duce przypomniał przy tej sposobności mimowoli słowa Franciszka Józefa, który otrzymawszy relacje o przegranych bitwach miał powiedzieć: „Jeżeli Austrja ginie, to niech ginie przynajmniej z honorem".

Włochy więc grożą, znając doskonale psychologję przeciętnego Anglika, który lubi panować nad morzami i eksploatować ludy kolorowe, ale nienawidzi wojny i służby wojskowej, miłuje zaś pokój, gwarantujący mu utrzymanie jedności potężnego Imperjum, z którego wszystkie żywotne siły spływają do Londynu i na wyspy Brytyjskie, stając się źródłem dobrobytu.

W Anglji też kryzys należy już do przeszłości, a złoto tam przelewa się strumieniami, wróciły najlepsze czasy prosperity i panuje nastrój prawdziwie karnawałowy.

Transfuzja krwi z całego świata w osłabiony przez wojnę organizm angielski zrobiła swoje, rekonwalescent nabrał rumieńców i nowej ochoty do życia. Ludzie syci zaś i bogaci nie lubią awantur i stąd ten wstręt angielski do poczynań włoskich w Abisynji.

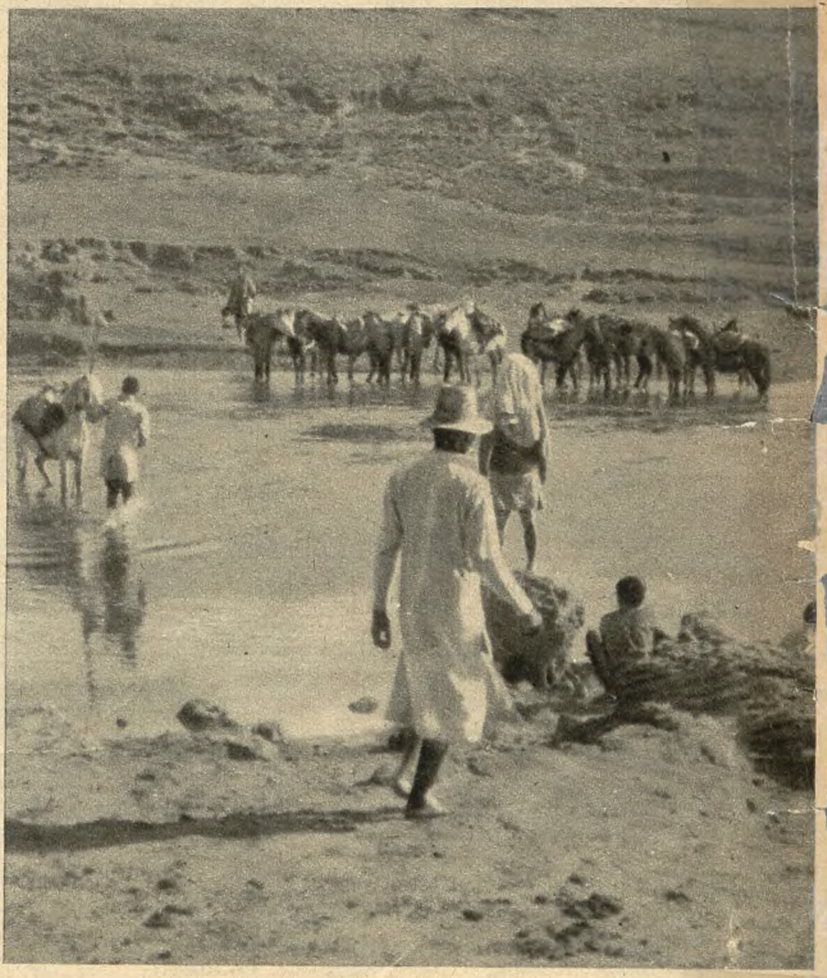
Tymczasem negus widząc, że liczenie na białych przyjaciół niedaleko go zaprowadzi, organizuje nagwałt swoją armję, a nawet rozpoczął ofensywę w prowincji Tigre, gdzie wojska jego przekroczyły w kilku miejscach rzekę Takazze i dotarły pod święte miasto Aksum. Obecnie toczą się tam zażarte walki.

Oznacza to, że inicjatywa przeszła w ręce negusa, który ukończywszy w ciągu dwóch miesięcy mobilizację swoich wojowników i zaopatrzywszy ich jako tako w materjał wojenny, mógł rozpocząć kroki zaczepne, mając świetne oparcie w niezwykle trudnym terenie, stanowiącym najlepsze zabezpieczenie Abisynji.

Negus bowiem zrozumiał, że o losach narodów decyduje zawsze miecz i że najlepszą jest ta dyplomacja, która opiera się o fakty dokonane a na poparcie swoich argumentów ma bagnety i armaty. Świat bowiem zawsze słucha silnych a nie mazgajów.



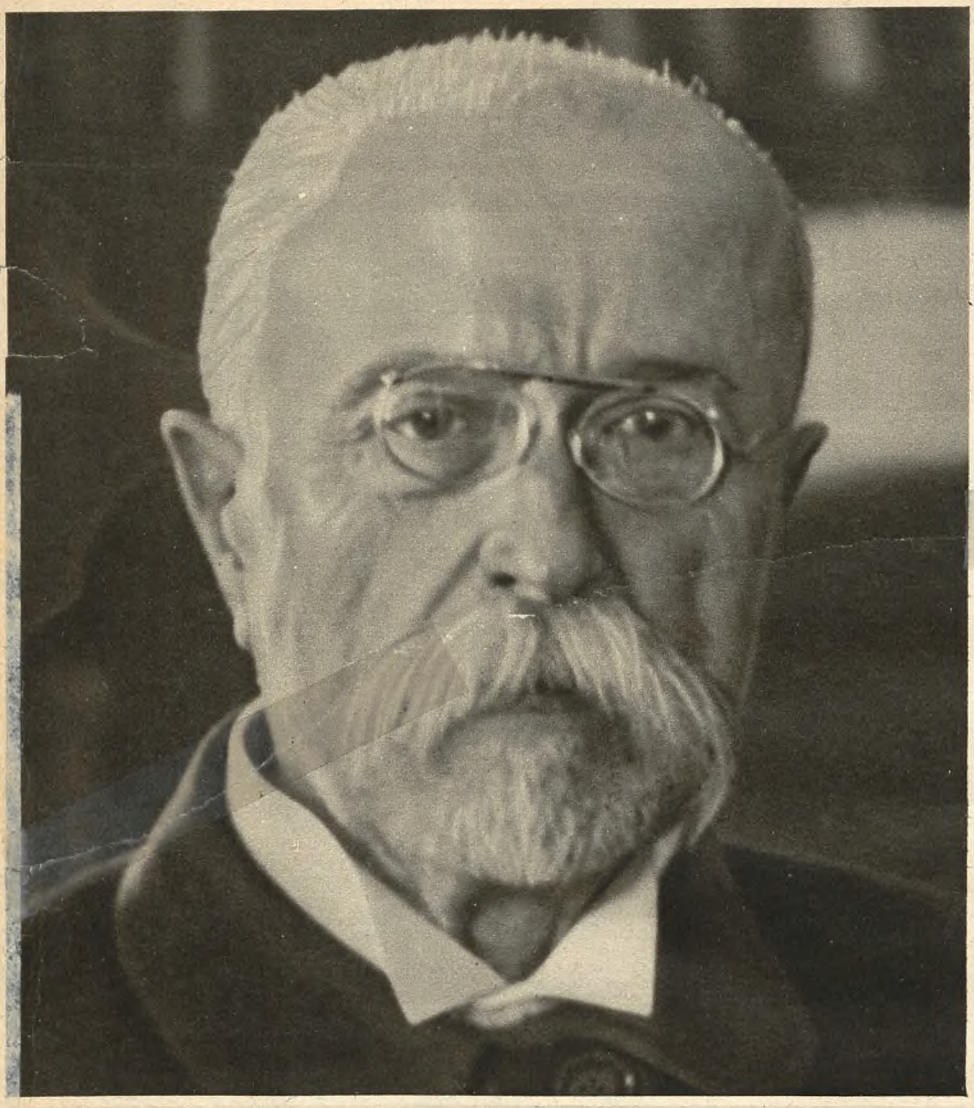
*Bojownik abisyński żegna swą żonę i dziecko przed odejściem na front.*



*Oddział konny abisyński u wodopoju.*

Francis C. Fuerst — Paris.

# CI, O KTÓRYCH SIĘ MÓWI



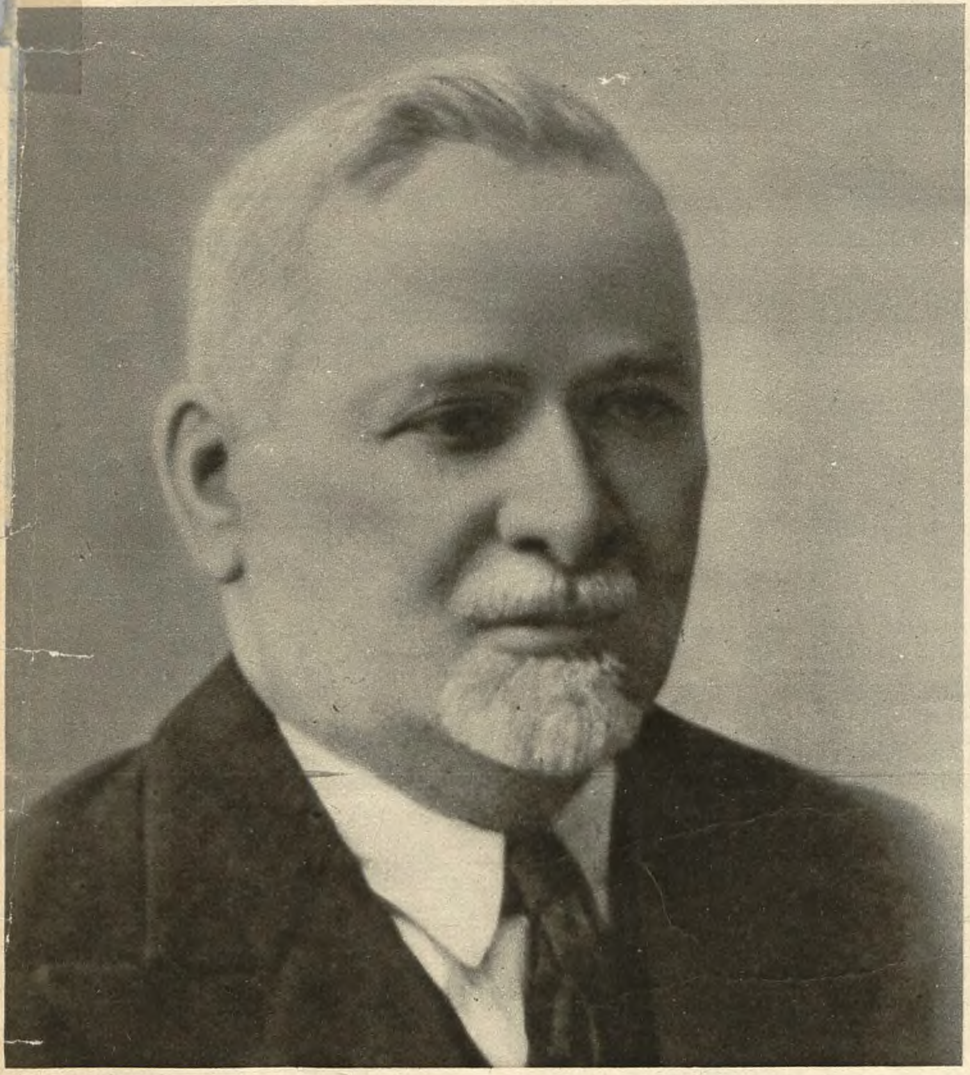


*TOMASZ GARRIGUE MASARYK*
*. prezydent Republiki Czechosłowackiej.*

## NOWY WŁODARZ NA HRADCZYNIE.

*Dr. EDWARD BENESZ*
*nowowybrany prezydent Republiki Czechosłowackiej.*

Prezydent Republiki Czechosłowackiej prof. Tomasz Masaryk ustąpił ze swojego wysokiego stanowiska z powodu sędziwego wieku i nadwątlonego stanu zdrowia. Sędziwy prezydent liczy bowiem już 86 lat życia i nie czuje się na siłach sterować państwem, któremu wywalczył niepodległość i którego był głową od 1918 r. Prezydent Masaryk pozostawia po sobie pamięć człowieka wielkiej kultury, wiernego swoim ideałom, szczerego demokraty i wyznawcy zasad liberalnych. Reprezentował on typ nowoczesnego humanisty w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Następcą jego został wybrany dr Edward Benesz, minister spraw zagranicznych, twórca Małej Ententy, wybitny dyplomata i polityk, najbliższy towarzysz pracy prezydenta Masaryka.





**ZGON BRATA MARSZAŁKA.** W Warszawie zmarł na zapalenie płuc po grypie ś. p. Adam Piłsudski, senator R. P. i wiceprezydent m. Wilna, w którego zarządzie pracował od 1901 r. Po nabożeństwie w kościele Zbawiciela w Warszawie, nastąpiła eksportacja zwłok ś. p. Adama Piłsudskiego do Wilna. Tam złożono je na cmentarzu na Rossie, obok miejsca wiecznego spoczynku Matki Piłsudskich — gdzie również, jak wiadomo, spocznie w niedalekiej przyszłości serce Wodza Narodu, ś. p. Marszałka Piłsudskiego.

**Ś. P. ALBRECHT KS. RADZIWIŁŁ,** ordynat nieświeski. W Warszawie zmarł ś. p. Albrecht ks. Radziwiłł, XVI-ty z kolei ordynat nieświeski, przeżywszy lat 50. Zmarły magnat był fundatorem i organizatorem kilku pułków kawaleryjskich armji polskiej i służył w 10-tym pułku ułanów litewskich jako podchorąży w czasie wojny. Pochowano go w Nieświeżu.

*Zdjęcia Ag. fot. „Światowid".*

# FRANCUZI LUBIĄ DOBRZE JEŚĆ.



*W typowej paryskiej kawiarence, gdzie schodzi się świat pracy.*

Rzecz dzieje się w prowincjonalnej francuskiej restauracyjce, którą odkrył przed kilku tygodniami pewien smakosz z Paryża i obecnie zawiózł tam swoich przyjaciół, aby w jego towarzystwie spożyli „diner".

Smakosz ułożył menu starannie, telefonując prawie co dnia z Paryża i dopytując się, czy homar będzie dostatecznie okazały i czy kaczka, nadziewana pomarańczami będzie m i a ł a właściwy smak.

Na ten temat prowadzono długie rozmowy, a szef kuchni i gospodarz z restauracyjki prowincjonalnej zaręczali, że uczynią wszystko, aby „diner" stało się reklamą dla innych gości z Paryża.



*We Francji odbywają się często konkursy kulinarne, w których biorą udział najwybitniejsi kucharze. Na zdjęciu jeden z najwybitniejszych szefów kuchni w Paryżu, André Perot, w towarzystwie swoich kolegów, gratulujących mu zdobycia pierwszej nagrody na konkursie w Paryżu.*

*Photo NYT — Paris.*



*Przyrządzanie potrawy we dwójkę przy zacisznym kominku, wedle starego przepisu stanowiącego tajemnicę rodzinną.*



*Smakosz sam oprawia drób dla swoich gości.*

Jeszcze w przeddzień przyjazdu smakosz dopytywał się, znowu telefonicznie, czy w lokalu są odpowiednie wina do sera „Roquefort", który w przeciwnym razie traci swą wartość dla podniebienia.

Potem panowie siedli do auta, przejechali 70 km. autostradą i ulokowawszy się w zacisznym gabinecie, oddawali się przez kilka godzin biesiadzie kulinarnej. Szef kuchni dwoił się i troił, bo wiedział, że w przyległym pokoju siedzą znawcy, a nie barbarzyńcy, którzy jedzą co im się poda i rzucają się na potrawy jak wilki, uważając, że na wszystko można mieć czas, tylko nie na jedzenie.

Po obiedzie panowie rozpoczęli pogawędkę. Rozmawiali naturalnie o kuchni.

— Smutne doprawdy czasy, zaczął pierwszy z nich, siwy pan o okrągłej twarzy. Jak mało zachowało się we Francji miejsc, gdzie można jeszcze dobrze i spokojnie zjeść. Nic dziwnego więc, że młodsze pokolenie wprowadziło w Paryżu modę jeżdżenia autem od restauracji do restauracji, spożywając w każdej z nich tylko to danie, które stanowi jej specjalność. A więc na „aperitif" jadą do „Triomphe" na Pola Elizejskie, na zakąski włoskie do Poccardiego przy Operze, na sztukę mięsa do robotniczej restauracyjki przy Porte d'Italie, na kaczkę z pomarańczami (równie dobrą jak tutejsza) do „Dufond, son caneton" przy Institut de France, na sery do „piwniczki" przy rue Amsterdam, na desery do ciastkarni wiedeńskiej przy rue Royale obok Maxima, lub na rue Saint-Jacques przy Sorbonie, a nakoniec na kawę do Lasku Bulońskiego. Ale ile to wymaga czasu?

— To też ja, wtrącił drugi pan, wolę swoich przyjaciół zaprosić do mej posiadłości wiejskiej, gdzie wciągam biały fartuch i sam przyprawiam drób i „bouillabaise" (marsylijska potrawa z ryb).

— Ja robię podobnie, odezwał się trzeci z panów, zaciągając się dymem z fajeczki, tylko że u mnie każdy z zaproszonych gości musi przygotować na miejscu tę potrawę, która jest jego specjalnością. Najważniejsze to, że teraz ceny w Paryżu w restauracjach spadły, można dobrze i tanio jeść. A przecież jeszcze niedawno trzeba było w „Laperouse" lub „Tour d'argent" liczyć jakie 500 franków na osobę. Ja sam zaś za kawałek sera z winem, w owej piwniczce ze serami przy rue Amsterdam, o której przed chwilą była mowa, zapłaciłem 40 franków. Ale co za ser, co za wino i jaka obsługa! Gospodarz przypatrywał mi się z piętnaście minut, zanim zadecydował, jakie wino najbardziej nadaje się, do sera, którego zażądałem i do... mojej fizjonomji.

— To właśnie jest dziś największą rzadkością, jęknął „odkrywca" prowincjonalnej restauracyjki. W Paryżu nietrudno o tani lokal, gdzie płaci się 20 do 40 franków (!!!) od osoby, a trudno o lokal dyskretny, godny miana świątyni gastronomicznej, a już najtrudniej o obsługę, pełną delikatności i głębokiej znajomości rzeczy. Nawet w renomowanych restauracjach podadzą ci często pieczyste bez chleba, lub kawę bez cukru.

— Bo dziś wszystko prędko, prędko. Spotkałem się niedawno z emerytowanym dyrektorem jednej ze słynnych restauracyj luksusowych przy Madelaine. Żalił on się (a pamięta chłop wszystkie dziwactwa wielkich książąt rosyjskich) że niema właściwie dzisiaj kogo obsługiwać, bo ludzie nie przywiązują do jedzenia żadnej wagi.

Tak rozmawiali sobie panowie w dyskretnej prowincjonalnej restauracyjce, poczem odjechali do Paryża na posiedzenie rady nadzorczej pewnego Towarzystwa Ubezpieczeń, które miało się odbyć... w pewnej restauracyjce przy ul. Saint André des Arts.

Jak to, zapytasz czytelniku, posiedzenie rady nadzorczej w restauracji?

A tak. W Paryżu bardzo często zebrania zarządów, klubów, stowarzyszeń, komitetów i innych „ciężkich ciał", reprezentujących handel i przemysł odbywają się pod postacią „kolacyj składkowych", przyczem koszt od osoby wynosi od 20—1000 franków. Trzeba jednak być Francuzem, aby umieć jeść i pić, a równocześnie badać każdą cyfrę w bilansie handlowym a na deser rozkoszować się morelą, która kosztuje... 20 franków.

Tylko bowiem Francuz z natury oszczędny i skąpy, ale równocześnie szanujący swoje podniebienie potrafi ocenić, że warto wydać 20 franków za owoc, niezrównany w smaku i wybrany z tysiąca.

**Zygmunt Frenkiel — Paryż.**

# POLESIE
## KRAJ BŁOTA I PRZYSZŁOŚCI...



*Typ starego Poleszuka.*



*Dzikie brzegi jeziora Zasumino Małe.*



*„Sukiennice" w Pińsku.*

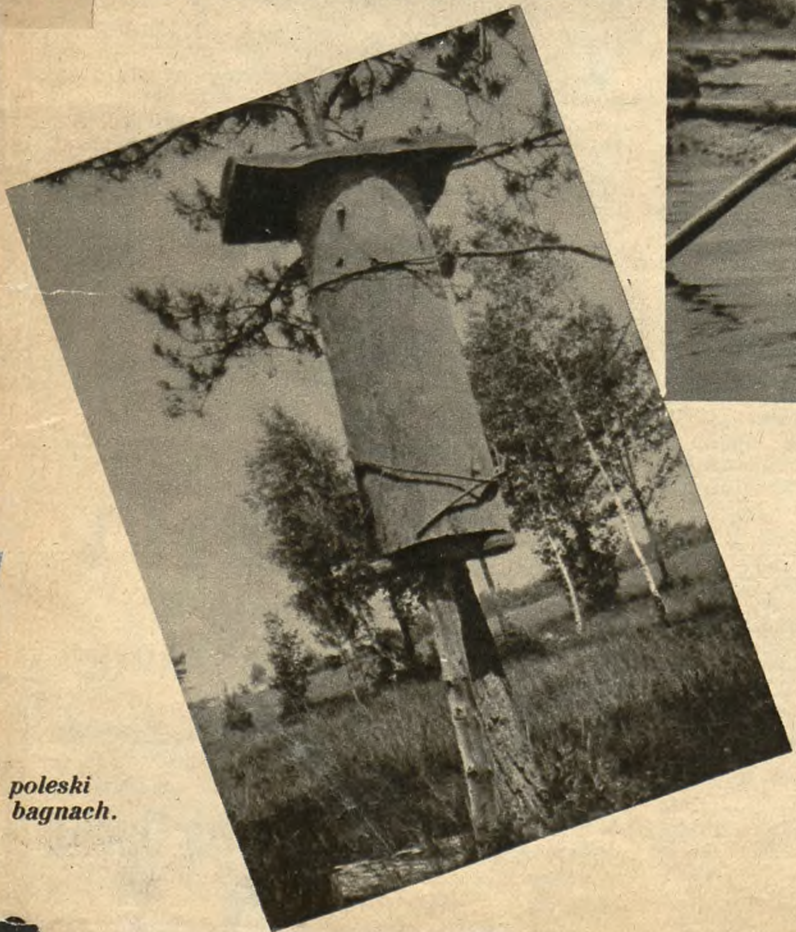
olesie, zajmując obszar przeszło 36 tysięcy $km^2$, więc znacznie większy od całej dzisiejszej Belrji, stanowi nietylko w Polsce, ale w całej Europie sobliwość nielada, ze względu na swój egzotyzm, zejawiający się w cudach natury i w prymitywie bytu tamtejszego człowieka, Poleszuka. Nigdzie w Europie, znormalizowanej i uregulowanej, nie można spotkać takiej, jak na naszem Polesiu mnogości poplątanych rzek, rzeczek i rzeczułek, płynących wolno, kapryśnie rozlewających swe wody po niskich brzegach. Taka Prypeć, królowa poleskich wód, normalnie dosięgająca 206 metrów szerokości, w czasie roztopów potrafi rozlać swe wody po królewsku na szerokości 16 kilometrów i toczyć je majestatycznie, powoli ku wschodniej granicy Rzeczypospolitej.

Nigdzie w Starym Świecie niema już tylu zdradzieckich bagien i topieli, niedostępnych dla człowieka nawet w zimie i to człowieka tak pierwotnego i sprytnego, jak Poleszuk. Nigdzie niema takich bezdroży i tak pięknych wód do komunikacji. Kraj zadziwiających kontrastów. Nigdzie nie znajdziesz tak pięknej przyrody dzikiej, ani tak wspaniałego i różnorodnego zwierza.

Bagna i moczary zajmują 56% powierzchni, resztę pokrywają lasy i ziemia uprawna. Prócz wielkich lasów sosnowych, znajdujemy tam wielkie bory olchowe, dęby, jesiony, klony, graby, wiązy, osiki, a nawet wspaniałą azalję pontyjską, rosnącą w stanie dzikim w lasach koło Ostek, Karpiłówki i Snowidowicz.



*Poleszuk spławiający drzewo na Prypeci.*



*Ul poleski na bagnach.*

Bogactwu flory odpowiada bogactwo fauny. Ze zwierząt, poza rosochatym łosiem, ozdobą i królem poleskich puszcz, znajdziemy jeszcze niedźwiedzie, wilka, rysia, sporo dzików, sarn, oraz bobra.

Polesie, to kraj myśliwych! Nie tylko na grubego zwierza, ale przedewszystkiem na ptactwo wodne. Znawcy określają liczbę gatunków ptactwa wodnego na 60, nie licząc odmian, których wśród kaczek jest ponoć aż 16-cie. Cietrzewie i głuszce to specjalna atrakcja dla myśliwych. A dalej bogactwo wód, w których żyje aż 45 gatunków przeróżnych ryb. Nic też dziwnego, że chłop poleski kocha las i wodę. Z nich żyje. Wodę kocha, jest jak ona spokojny i powolny. Zna tę wodę, jak nikt inny i czci ją często jeszcze według pogańskich wierzeń swych ojców. Służy mu ona jako szeroka bez wybojów droga. Nią jedzie czasem do kościoła, częściej na jarmark, zwozi siano, zboże, drzewo i wszystko.

**Jacek W.**

*WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. JACEK WNĘK — KATOWICE.*

# Karnawał się zbliża...



*Redaktor Mieczysław Dachowski, referent prasowy największych domów modelowych w Polsce, nasz współpracownik.*
**Fot. Dorys, Warszawa.**





*Obok: Piękna toaleta balowa ze złotej lamy, z przodu drapowana, wraz ze wspaniałem sortie z velours-chiffon-infroisable w kolorze ciemno-brązowym. Przez przełożenie nogi draperja inaczej się układa, tworząc inną kreację. Model — Boguchwał Myszkorowski, Warszawa.* **Fot. W. Kirchner, Warszawa.**

*Do numeru gwiazdkowego „Światowida" udało się nam uzyskać zdjęcie wspaniałych, jedynych w Polsce, prawdziwie królewskich soboli. Model i własność firmy Maksymiljan Apfelbaum, Warszawa*
**Fot. Dorys, Warszawa.**

Nadchodzi karnawał. Jesteśmy w okresie gorączkowych przygotowań. Tak, jak już niejednokrotnie na tem miejscu podkreślaliśmy, uwaga pań z najwyższych sfer stolicy i innych wielkich miast polskich, zwrócona jest wyłącznie na ostatnie kreacje Myszkorowskiego, Apfelbauma i Leszczyńskiego.

Dla pięknej pani zbliżający się sezon zabaw i wesela, to problem pełen przemiłych tajemnic. Aby nie popaść w krańcowość, kolidującą z tendencjami mody i wytwornego smaku, powierzają panie wyżej wspomnianym firmom realizację swych toalet balowych, począwszy od pięknego, miniaturowego sandałka, a kończąc na wspaniałych, królewskich sobolach.

Zamieszczamy dzisiaj dwa modele. Pierwszy — to wspaniała, najmodniejsza obecnie peleryna z soboli. I właśnie na podkreślenie naszego stanowiska w stosunku do tych domów modelowych, możemy wyjaśnić, że Apfelbaum jest jedynym w Polsce, który posiada tak wspaniałe, wprost bezcenne kreacje i tylko od niego moglibyśmy otrzymać to najciekawsze zdjęcie.

Drugi model, to ostatnia realizacja pomysłów niezrównanego Myszkorowskiego. Rozmach, z jakim prace w tym domu modelowym postępują, jest godny uwagi.

Z ostatnich modeli Myszkorowskiego możnaby sądzić, że przejął się on bardzo wojną włosko-abisyńską i w realizacji bardzo często zastosowuje motywy abisyńskie. Wyjątkowo subtelne jego koncepcje nadają tym kreacjom wiele artyzmu. **M. D.**

Marja Hessel

# PIĘCIOPŁATNICA

POWIEŚĆ

20)

Wkońcu znalazła się w niezmiernie długim i ciemnym trochę przedpokoju, a raczej korytarzu. Podłogę jego zakrywał szczelnie dywan tak gruby i miękki, że Flora nie słyszała zupełnie własnych kroków. Ściany tego przedpokoju były gołe i puste. Szybko przebiegła przez ten osobliwy korytarz, mijając wciąż liczne, zamknięte drzwi — i nagle okrzyk zachwytu wyrwał się z jej piersi.

Stała nad schodami. Kilkadziesiąt ich, długich i wąskich, ułożonych w półkole, prowadziło do ogrodu, który leżał nisko, jakby u stóp Flory. Zbiegła po tych schodach chyżo, jak jaskółka i wpadła pomiędzy drzewa.

Znajdowała się w ogromnym ogrodzie, cudnym, jak ewangeliczny raj. Mimo wspaniałej alei głównej i całej masy bocznych ścieżek, drzewa i krzewy rosły tak gęsto, że cały ogród tonął w cieniu. Gdzieniegdzie tylko, zwłaszcza gdy zawiał wiatr, kładły się po ziemi płowe smugi słońca.

Lecz sama ziemia również nie była widoczna: jak okiem sięgnąć widniały na niej wszędzie najcudniejsze i najróżnorodniejsze kwiaty. Całe łany niepokalanych lilij, modrych irysów, czerwonych i żółtych tulipanów, róż wszelkich odmian i kolorów, pstrych goździków i bratków — pachniały tak upojnie, że dziewczyna czuła zwrot głowy.

Z pomiędzy kwiatów tryskały w gałęzie drzew chłodne fontanny, rozpryskując się w miljardy lśniących iskier.

Nad tym ziemskim rajem wisiało szafirowe niebo, pogodne, bez chmur, ozdobione, jak złotym monogramem, jaskrawą kulą słoneczną. W błękit nieba wrzynały się górskie szczyty. Góry te otaczały ogród i dom nieprzebytym pierścieniem, a były tak blisko, że Flora słyszała i czuła na twarzy wiew jodłowych lasów, szumiących na reglach. Ze zdziwieniem poznała swe rodzinne Tatry.

Na świat leciał z nieba piekielny żar, ale Florentyna nie czuła tego, osłonięta cieniem. Wyciągnęła przed siebie nagie ramiona i migając jasną suknią, jak motyl biegała wśród drzew i kwiatów. Zanurzała stopy w puszystych trawnikach, przypadała twarzą do ziemi i całowała kielichy kwiatów, wilgotne od kropel wody, rozpryskujących się wokół.

W miarę, jak zagłębiała się w ogród, coraz silniej uderzał w nią cudny, już w pokoju wyczuty zapach. Nic piękniejszego nie spotkała dotąd w swem życiu. Za wszelką cenę usiłowała przypomnieć sobie ten zapach — i nie mogła. Nie znała go. Uprzytomniwszy to sobie, zdjęta zdziwieniem i ciekawością, postanowiła koniecznie odszukać roślinę, wydającą tak cudowną woń.

Przebiegając pomiędzy drzewami zauważyła, że gęstwina poczyna się nagle rozrzedzać. Wśród gałęzi coraz jaśniej połyskiwało światło. Nagle drzewa skończyły się, jak odcięte. Flora ujrzała niczem nie przesłoniętą wolną przestrzeń, w rodzaju leśnej polany. W jednej chwili olśniło ją światło słoneczne i jakiś rzęsisty, brylantowy błysk, tak silny, że ramionami przesłoniła oczy. Gdy odjęła ręce od twarzy i — oswoiwszy się nieco z dziwną, oślepiającą jasnością — spojrzała przed siebie, z piersi jej wydarł się naraz krótki, głośny krzyk — i skonał:

W ciepłych ramionach górskiego wiatru kołysała się na różowych smugach słońca roślina tak cudnej piękności, że najgenjalniejsza fantazja nie byłaby wstanie wyśnić czegoś równie wspaniałego!

Kielich jej był ogromny, jak misa. Wielkie płaty, grube i mięsiste, mieniły się wprost przecudnie wszystkiemi kolorami tęczy, zmieniając ustawicznie barwę. Z głębokiego granatu przechodziły — poprzez lazur wiosennego nieba — w subtelne odcienie turkusu, by już w następnej chwili zmienić się w jutrzenkową różowość, a z niej — przez wszystkie gamy i odcienie — przejść w wilgotny szkarłat krwi. Zanim oko zdążyło pochwycić tę czerwień, już ona zmieniała się w ciemny, niemal czarny szmaragd i jaśniała stopniowo, ukazując nieznane dotychczas oczom odcienie zieleni, aż po najjaśniejszy i najdelikatniejszy seledyn. Seledyn zmieniał się natychmiast w płomień dojrzałej pomarańczy, który bladł stopniowo, by wreszcie roztopić się w liljowej białości... Na płatach tańczyły bezustannie, z zawrotną szybkością, liczne kręgi we wszystkich odcieniach tego koloru, jakiego płaty były w danej chwili.

Z głębi kielicha strzelały wgórę powyginane najfantastyczniej pręciki, zakończone przeźroczą kulką. W kulce tej chybotało coś, jakby wewnątrz znajdowała się woda.

Brzegi płatów wysadzone były, jak całą masą dużych brylantów, biało-srebrnemi punktami. Punkty te właśnie wytwarzały nad kwiatami oślepiającą jaśń, która w pierwszej chwili uniemożliwiała patrzenie w kwiat.

Kwiat był wysoki przeszło na półtora metra. Łodygę miał silną i grubą, a po niej pięły się wgórę wielkie, jak parasolki, okrągłe liście, koloru ciemnego fioletu, przechodzącego przy łodydze w rdzawą czerwień.

Za każdym podmuchem wiatru nieprzeliczone zastępy wielkiego kwiecia kłaniały się wdzięcznie osłupiałej i zmartwiałej z zachwytu Florentynie i w nozdrza jej uderzał z całą siłą oszałamiający zapach, od którego poczynała chwytać ją niemoc, omdlałość i bezwład, i stan półprzytomności, jak po narkotyku. . I stała tak, stała i patrzyła, nie wierząc własnym oczom. Wytężała pamięć, by przypomnieć sobie nazwę tej boskiej rośliny, lecz napróżno. Uświadomiła sobie wreszcie, że dotychczas nikt nie słyszał o tym kwiecie, najcudniejszym ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wydała ze swego łona ziemia-matka.

W pewnej chwili Florentyna dostrzegła, że kwiaty nie wyrastają wprost z ziemi, lecz z szklanych pudeł, ustawionych koło siebie swobodnie, nawet niewkopanych w ziemię; można je było każdej chwili przenieść w inne miejsce. Najwidoczniej roślina była specjalnie hodowana. W przekonaniu tem Flora utwierdziła się jeszcze, ujrzawszy impregnowane story, zwijane na rolkach, przymocowane do przedniej ściany każdego z szklanych pudeł: osłaniano więc kwiaty przed deszczem. Schyliła się — i w tej samej chwili dostrzegła pod jedną z łodyg przy brzegu drewnianą tabliczkę z napisem: „Quinpetala mutocoloris“.

— „Quinpetala mutocoloris“? Nic więcej? A więc „Pięciopłatnica barwozmienna“! — Flora ze zdziwieniem patrzyła na tę nazwę skromną, naukową, niegodną cudu, jaki określała. Delikatnie dotknęła palcami ziemi: była lepka i wilgotna, miała przytem dziwny kolor rdzawo-czerwony.

Dziewczyna podniosła się i poczęła okrążać łan, wreszcie znalazła wąską ścieżkę wśród kwiecia. Wstąpiła na nią i szła przed siebie, mrużąc wciąż oczy przed jaskrawą, tęczową jasnością. Poruszane wiatrem kwiaty bezustannie zastępowały jej drogę i uderzały delikatnie po twarzy. Szła tak dosyć długo i nagle znalazła się naprzeciw stawu. Wywnioskowała z tego, że „ruchoma plantacja“ tworzyła olbrzymie koło, a raczej bardzo szeroki pierścień koła. Jego środek, oddzielony od kwietnego łanu drugim, ale wąskim już pierścieniem, stanowił właśnie staw. Florentyna, stojąc na powierzchni wąskiego pierścienia, posypanej żwirem jak taras, ujrzała, że nad stawem unosi się coś, na podobieństwo olbrzymiej puszki z przeźroczystego szkła. Puszka ta, wprawiana w ruch jakąś niewidzialną siłą, obracała się bezustannie dokoła swej osi.

Zaciekawiona Flora stanęła nad samym brzegiem wody i poczęła uważnie zaglądać do wnętrza, gdzie rysowały się, niewyraźne z początku, jakieś figury i kształty. A w miarę, jak patrzyła, różana jej twarz stawała się blada — blada — coraz bledsza — aż uczyniła się bieluchna, jak opłatek... Płomieniejące jej oczy otwierały się coraz szerzej, obłędne, straszne! Kolana załamały się pod nią. Uklękła na żwirze. Obie ręce podniosła ku otwartym ustom i poczęła gryźć palce, by przekonać się, że żyje, że to, co widzi, nie jest koszmarną zjawą, ale ohydną rzeczywistością. Nagle wszystkie włosy spreżyły się na jej głowie, po twarzy, szyi, plecach goniły jej miljony drażniących mrówek...

Wyrwała ręce z ust i poczęła krzyczeć przeraźliwie, dziko — rzuciła się twarzą na piasek, tarzała się po ziemi jak obłąkana, zanosząc się histerycznym płaczem i krzycząc tak, jakby samą siebie tym krzykiem chciała przerazić i podniecić. Od czasu do czasu podnosiła nad ziemią bladą jak chusta twarz, by patrzeć w głąb szklanego pudła:

Wewnątrz leżały, ustawione jedna przy drugiej, płytkie marmurowe trumny. Niektóre z nich były puste ,ale w wielu leżały nieruchomo jakieś ciała kobiece. Ciała te były zupełnie nagie, a każde z nich miało w okolicy serca okropną ranę. I leżały ciche, nieruchome, smutne... Szklane pudło obracało się wciąż i wciąż ciała te wracały przed oczy Flory. Wśród nich rozpoznała piękną postać Janiny Mierzyńskiej i jej płomienne włosy. Potem było kilka obcych twarzy, a za niemi ujrzała Flora słodką twarzyczkę Ewy Bronówny, otoczoną pierścieniem ciemnych włosów... Potem znowu obce twarze — a za niemi rasowe oblicze ślicznej lady, wiośnianej Agnes Balfoor...



Straszliwa prawda uderzyła w mózg Florentyny, jak młot. Z oczu jej trysnął strumień łez. Przyniosło jej to ulgę, więc płakała głośno, żałośnie jak dziecko, a płacz ten omal nie rozdarł jej piersi. Objęła głowę dygocącemi dłońmi, a potem wodziła niemi po twarzy, po piersiach, po szyi, jakby chciała odegnąć duszącą ją zmorę.

Nagle rozpacz jej zmieniła się w przerażenie, w lęk tak okropny, że począł chwytać ją poprostu szał. Zerwała się, by pobiec przed siebie na oślep, choćby w przepaść, choćby rozbić głowę o pień najbliższego drzewa, byle tylko stracić z oczu ten straszny widok, by nie myśleć, nie pamiętać...

Odwróciła się do ucieczki — i w tej samej chwili ujrzała przed sobą niezwykle wysoki ludzki kształt, uparte seledynowe oczy i twarz jakąś tak ohydnie brzydką, odrażającą i straszną, że stargane poprzedniemi wrażeniami nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Stało się to wszystko w jednym ułamku sekundy: nie odetchnęła nawet i stoczyła się zemdlona do nóg milczącego widma.

A widmo schyliło się, uniosło ją z ziemi z taką łatwością, jakby była źdźbłem trawy, lub zgubionym przy drodze kwiatem — i ścieżką wśród roślin podążyło pospiesznie w głąb ogrodu, ku budynkowi...

## ROZDZIAŁ 19.

Benedykt Cuma długo trzeźwił i cucił Florentynę, nim odzyskała przytomność i okazała pierwsze znaki życia. Ale już po odzyskaniu przytomności leżała z zamkniętemi oczyma, oddechając tak słabo, jakby oddech ten lada chwila miał ulecieć wraz z życiem z jej skołatanej piersi.

Cuma, nie chcąc jej zbytnio niepokoić, pozostawił ją samą i wyszedł. Gdy wrócił po upływie niespełna godziny, Flora siedziała już na kanapie, stopami oparta o podłogę. Nawet nie podniosła się na jego widok, nie okazała ani źdźwienia, ani lęku. Spokojnie patrzyła dokoła, obojętna na wszystko. Potem wsparła łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach i pogrążyła się w zupełnej bezmyślności.

Botanik usiadł obok niej. Jego seledynowe oczy nie odrywały się ani na sekundę od białej twarzy i puszystej czarnej główki, schylonej nad kolanami. Wreszcie objął palcami jej rękę w przegubie.

— Nie bój się mnie! — rzekł dziwnie miękkim, cichym głosem, jakiego nigdy nie słyszała żadna z poprzedniczek Flory.

Wzdrygnęła się pod jego dotknięciem, lecz nie rzekła nic, tylko wyrwała mu rękę. Przysunął się do niej całkiem blisko.

— Nie bój się mnie! powtórzył — nie zrobię ci żadnej krzywdy.

Florentyna milczała. Oprzytomniała już. Skupiała myśli, obmyślając drobiazgowo plan nie walki, lecz zemsty. Uświadomiła sobie, że nadszedł kres jej życia, że uzupełni straszliwą kolekcję, oglądaną przez szklane ściany ohydnego pudła. Ale to już jej nie przerażało. Nie bała się cierpień, ani śmierci. Świadomość, że wie już, kto jest sprawcą wszystkich jej nieszczęść, że sprawcę tego ma przed sobą, wskrzesiła w niej hardą duszę góralską, która nie chciała przejść w milczeniu koło krzywdy i hańby. To, co przecierpiała przez tajemnicze znikanie istot powierzonych jej opiece, niespodziewane ocalenie przed karą niesprawiedliwą i hańbiącą, wreszcie to, co ujrzała w ogrodzie — zgięło ją do tej samej ziemi, jak huragan zgina młodą drzewinę. Ale drzewko było młode, postanowiła podnieść się przemocą i nie dać się złamać.

W miarę, jak w umyśle dojrzewały te postanowienia, serce jej poczynało bić coraz mocniej i coraz regularniej. Z twarzy znikła bladość. Oczy ukryte podstępnie w cieniu ogromnych rzęs, płonęły jak ognie. Lecz siedziała nieruchomo, jakby spała, wyczekując odpowiedniej chwili.

Cuma źle zrozumiał to milczenie. Przysunął swą potworną twarz do ucha Flory i szeptał:

— Przeraziło cię to, co ujrzałaś w ogrodzie! Poco tam poszłaś! Ja chciałem zaoszczędzić ci tego! Tobie jednej! Przestań myśleć o tem, co widziałaś... Tamte potrzebne były moim kwiatom, a ty jesteś potrzebna tylko mnie! Zniszczę to wszystko, jak każesz! Widziałaś ten ogród, te kwiaty? To wszystko jest twoje! Ty, najcudniejsza z cudów! najjaśniejsza z gwiazd! najwdzięczniejsza z kwiatów!! Będziesz żyła, zostaniesz tu ze mną i kochaj mnie, kochaj! kochaj! kochaj!...

Szept jego zmienił się w namiętny błagalny syk. Ręce zwyrodniałego starca objęły kibić Flory.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).

# sztuka i film




Girlsy z Hollywood witają radośnie na zabawie sylwestrowej Nowy Rok 1936.





# »NASZE SŁONECZKO«

*Dwie sceny z filmu „Nasze słoneczko" z Shirley Temple.*
*Fot. „Fox-Film".*



# »OSACZONA«

Potężny dramat obyczajowy wytwórni Paramount z Sylvją Sydney, Aleanem Baxterem i Melvynem Douglasem. „Osaczona" już wkrótce będzie demonstrowana w Warszawie.

*Fot. Paramount.*





# „BĘDZIESZ ZAWSZE MOJĄ"



*Scena z filmu „Będziesz zawsze moja" z Grace Moore w roli głównej.* *Fot. „Sfinks"*

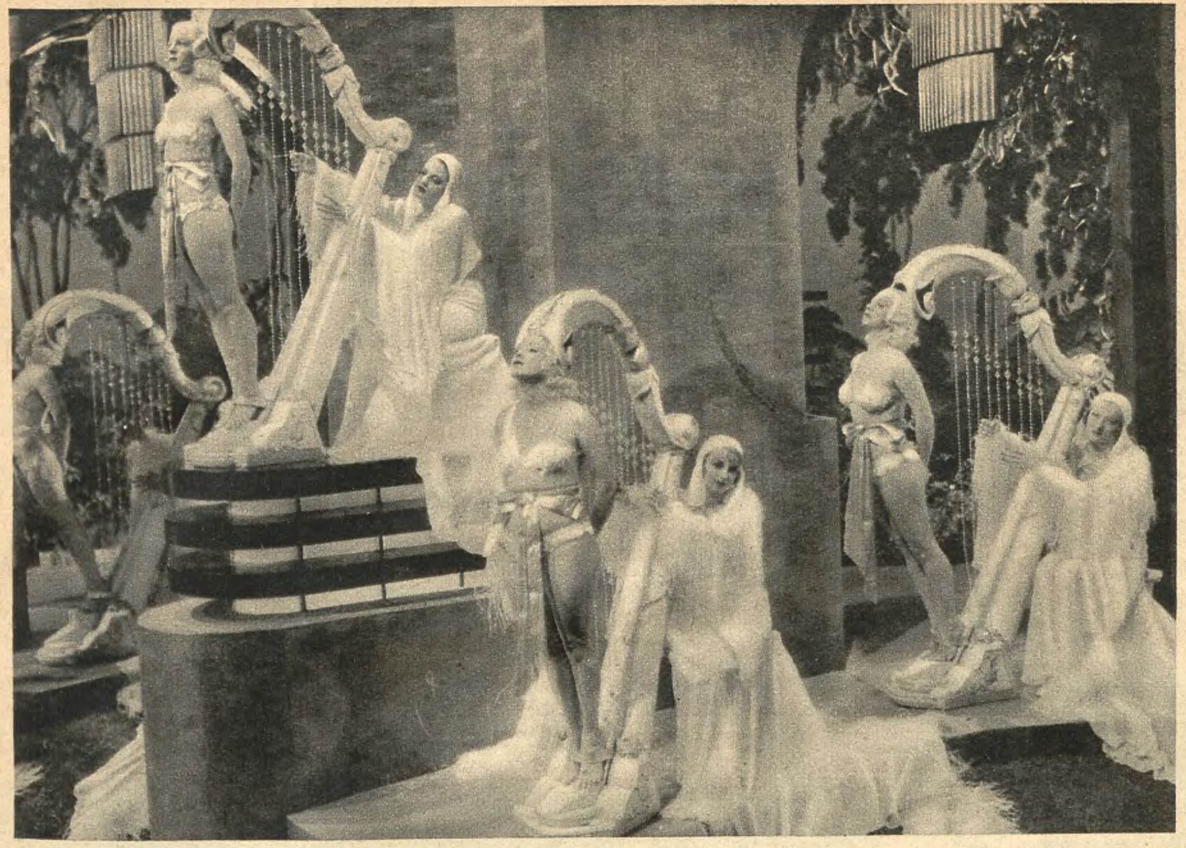
## JUNOSZA STĘPOWSKI GRA W „RÓŻY"

Każdy niemal dzień przynosi sensacyjną wiadomość o zaangażowaniu jakiejś sławy polskiej sceny i ekranu do filmu „Róża", nakręcanego przez wytwórnię „Libkow-film". W ostatnich dniach na liście artystów, odtwarzających główne role w filmie „Róża" znalazło się, między innemi, nazwisko zasłużonego i znakomitego artysty polskiego — Kazimierza Junoszy Stępowskiego.

Junosza-Stępowski jest dziś obok Solskiego i Węgrzyna artystą, który odtwarzał podczas swej długiej karjery największą ilość ról zarówno na scenie, jak i na ekranie. W każdej roli był jednakowo doskonały, w każdej swej kreacji był jednakowo genjalny.

Filmowanie „Róży", do której scenarjusz napisał Anatol Stern, jest już obecnie w pełnym toku. W obsadzie tego filmu, realizowanego przez Józefa Lejtesa, znajdujemy takie nazwiska jak: Zacharewicz, Znicz, Cybulski etc. Najbliższe dni ujawnią nazwiska szeregu innych artystów, zaangażowanych do „Róży". Wybrano już podobno artystkę, która zagra na ekranie rolę Krystyny. Ale o tem w następnym numerze naszego pisma.

# „ARMJA EWY“





*Dwie sceny z świetnego filmu „Armja Ewy“ wytwórni „Warner Bros“. W filmie tym główne role kreują: William Powell i Bette Davis.* Zdjęcia „Warner Bros First National“.

# „TĘCZA NAD HOLLYWOODEM“.

**Twórca kolorów „Becky Sharp“ o nowych metodach produkcji.**

W Hollywoodzie powstał obecnie nowy rodzaj „speca“. Istnieli dotychczas specjaliści od dźwięków, specjaliści od montażu, od fotografji, od reżyserji itd. obecnie narodził się nowy specjalista od kolorów. Pierwszym takim specjalistą, pobierającym fantastyczną gażę, jest Robert Edmund Jones, twórca kolorów pierwszego na świecie filmu w barwach naturalnych. Artykuł p. Jones zamieszczamy poniżej.

Nowy świat barw, jaki przedstawiono nam obecnie przez wprowadzenie metody produkowania filmów przy pomocy nowego wynalazku New Technicolor, otwiera dla filmu nieograniczone możliwości. Nowy proces stosowania barw jest bez zarzutu — z technicznego punktu widzenia. Nie ma on nic wspólnego ze wszystkiemi dotychczasowemi metodami produkowania filmów kolorowych. Przy pomocy tej nowej metody wszystkie barwne przedmioty, fotografowane przez objektyw, oddają swe barwy w idealnie niezmienionej postaci. Uzyskuje się przez to obrazy jaknajbardziej naturalne i — co więcej — prawie plastyczne.

Przy stosowaniu kolorów grozi jedno wielkie niebezpieczeństwo — niebezpieczeństwo przesady! I przeciwko temu trzeba się zastrzec jak najkategoryczniej. Kolor musi być dla obrazu zaledwie „tonem“ — jeżeli możemy się tak wyrazić, musi być tonem w całkowitej harmonji kształtów i dźwięków.

Zdaję sobie sprawę, że jestem w tej dziedzinie pierwszym fachowcem i dlatego wolno mi, pod adresem moich następców, wypowiedzieć to jedno wielkie zastrzeżenie: Nie przesadzajcie!

Dzisiaj większość ludzi, zniechęcona dotychczasowymi filmami kolorowymi, niedoskonałymi i przejaskrawionymi, odnosi się do nich wrogo. Muszę przyznać, że nastawienie to jest całkowicie uzasadnione. Jestem jednak przekonany, że każdy, kto zobaczy film „Becky Sharp“ zmieni swój pogląd na film kolorowy. Film ten posiada barwy tak naturalne, że już po dwuch, trzech aktach zapominamy o tem, iż jest to film kolorowy, odnosząc tylko pełne wrażenie harmonijnej całości. Dotychczas, przy zwyczajnem zdjęciu zwyczajnego mężczyzny w zwyczajnym pokoju, realizatorzy filmu kolorowego poczytywali za swój obowiązek ozdabianie tego pana czerwonym krawatem, robienie jaskrawo-niebieskich kotar u drzwi, ustawienie najbardziej jaskrawych kwiatów na oknie i malowanie ścian w sposób o pomstę do nieba wołający. Taki obraz nie może być nazwany obrazem kolorowym. Jest to tylko jeden wściekły „wrzask“ barw, który może każdego widza odstraszyć. Prawdziwy obraz kolorowy — taki, jakim jest „Becky Sharp“ — musi oddawać barwy przedmiotów naturalnie i wtenczas dopiero będzie mógł być z zadowoleniem przyjęty przez najszersze rzesze publiczności.

W obrazie takim musimy dbać o najidealniejszą harmonję kolorową pomiędzy wszystkim przedmiotami, jakie znaleźć się mają na klatce. Musi istnieć harmonja między krawatem, ścianą, dywanem, obrazem czy kotarą. Wszystko razem musi się składać na jedną całość, skomponowaną harmonijnie kształtem, a przeważnie i zdjęciem.

Nie moją rzeczą jest wyrokować o wartościach filmu. Odpowiedzialny jestem tylko za jego barwy i mam wrażenie, że pod tym względem dobrze spełniłem zadanie, jakie na mnie nałożono. Za resztę odpowiedzialny jest p. Mamoulian. A to wystarcza.



*Miriam Hopkins jest bohaterką filmu p. t. „Becky Sharp“. Jest to film kolorowy, zrobiony techniką „Technicolor“.* Fot. „R. K. O. RADIO-FILMS“.



Henry Garat w fantastycznym mundurze wojskowym w filmie „Jej Wysokośc całuje“.

# Mężczyźni w mundurkach

Splendor i romantyka munduru są stare, jak świat. Świat bowiem zawsze miał mundury — mundury przeróżne, zmieniające się w ciągu wieków. Od niepamiętnych czasów (historja ludów pierwotnych poucza nas o tem) starała się ludzkość wyodrębnić swe wyjątkowe, lub dla wyjątkowych celów przeznaczone jednostki ludzkie, czy też społeczne — zapomocą zewnętrznego ubioru, bardziej okazałego od zwyczajnego stroju danego plemienia, ludu, czy rasy. Więc czarodzieje posiadali wspaniałe przybranie z piór, wodzowie inne znów insygnia, odróżniające ich od poszczególnego członka plemienia — kapłani również specyficzne odznaki swej władzy duchownej — wojownicy swój strój wojenny, ubierany na czas wojennej zawieruchy. W miarę postępu czasu i różniczkowania się społecznych stosunków „mundurów“ tych przybywało. Pozatem zaczęły się one, że tak powiem, konsolidować — ustalać w pewnych formach, wreszcie krzepnąć w pewnych fazach rozwojowych — nadając niejednokrotnie styl całej epoce, w której się zrodziły. I takim przeobrażeniom ulegały przedewszystkiem mundury wojskowe.

Odkąd istnieje ludzkość — istnieją wojny. Siłą tego faktu wojownicy, jako obrońcy swego ludu, względnie zdobywający dla niego nowe tereny ekspansji zażywali i zażywają jeszcze dotychczas specjalnego wśród swego społeczeństwa miru. Z jednej strony zatem chęć wyodrębnienia się od reszty swego narodu w poczuciu swej wyższej w społeczeństwie wartości — z drugiej strony znów konieczność takiego wyodrębnienia i „zglajchszaltowania“ osobników, przeznaczonych do wykonania tych samych zadań i ćwiczonych w jednakowy sposób — wywołały potrzebę odrębnego stroju, po którymby można było odrazu poznać danego osobnika i łatwiej zdać sobie sprawę z liczby posiadanej siły.

Zkolei wystąpiła konieczność nadania godności i wspaniałości strojowi tych, którzy są obroną i stróżami porządku w danem społeczeństwie. Mundury zaczynają się różniczkować — każdy kraj stwarza odrębne w tej dziedzinie ubiory, siląc się przytem na jaknajwiększą pomysłowość w ozdabianiu ich. Powstają przepiękne i barwne mundury w czasach absolutyzmu — a w miarę zbliżania się epoki obecnej, dzielą się one wkońcu na skromniejsze, polowe — służące praktycznym celom i okazalsze, paradowe — używane podczas uroczystości. I takie przeważnie — jako malownicze, a niezwykle „twarzowe“ — weszły mundury na srebrny ekran w przeróżnych sztukach, czy to poważnych z czasów Wielkiej Wojny lub wojen kolonizatorskich — czy też lekkich, muzycznych komedjach, gdzie stale „stylizuje się“ je na największą wspaniałość, chcąc olśniewającym wyglądem umundurowanego amanta poruszyć w naszych duszach prastarą strunę sentymentu dla wojska i jego przedstawicieli.

Mundury mają również swoją psychologję. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że w formie munduru i sposobie jego noszenia uzewnętrzniała się psychologja danego narodu, który go stworzył. Któż nie zna pełnego lekkości i wykwintnej galanterji munduru oficera austrjackiego! Jest to typowy mundur operetkowego amanta, lub bohatera lekkiej komedji muzycznej — toteż przeważnie ten rodzaj munduru występuje we wszystkich sztukach o treści frywolnej, wesołej — pełnej śpiewu, sentymentu, zabaw i miłosnej intrygi. Widzieliśmy takich filmów wiele: „Manewry jesienne“, „Feldmarszałek“, „Wesoły porucznik“, „Komenda serc“ — oto nieliczne z tych wielu obrazów filmowych, w których mundur austrjacki grał... siebie samego w swych stereotypowych czynnościach... służbowych.

Mundury pruskiego żołnierza i oficera uderzają swoją germańską rubasznością i świetnie tonują się z tłem Wielkiej Wojny i jej okropnościami. Zajęcie Belgji, rządy okupacyjne na tym terenie, pożogi i gruzy miast, pośród których generałowie pruscy odbywają swe parady wojskowe, wybijane twardym, bezwzględnym krokiem — to znów filmy amerykańskie i francuskie, które prześcigały się wzajemnie w związaniu munduru pruskiego z pojęciem brutalizmu i bezwzględności. Były też filmy bezstronne, jak np. „Świat w płomieniach“ — gdzie mundur walczących państw stawał się symbolem cierpienia wielu miljonów skazanych na śmierć żołnierzy. W tych filmach występowały również mundury amerykańskie, uderzające przedewszystkiem swą praktycznością i zawadjackością zarazem. Dlatego wypadają one świetnie w awanturniczych obrazach filmowych, mających za treść przygody amerykańskich żołnierzy-frantów w kolonjach Zjedn. St. A. P. Pozatem oglądaliśmy w filmach najczęściej malowniczy mundur włoski, wykwintny mundur francuski, lub pełen uroku i wschodniego nieco charakteru mundur rosyjski.

Ten ostatni często występuje z eleganckim mundurem polskiej armji. Pamiętamy wszyscy pierwsze filmy polskie z Węgrzynem i Aliną Bruczówną, w których to filmach Kazimierz Junosza Stępowski w mundurze rosyjskiego generała znęcał się na różne sposoby nad legjonistą — Węgrzynem. Po tych pierwszych poważnych obrazach pojawiły się polskie komedje muzyczne, gdzie śliczny mundur naszej kawalerji „chwytał za serce“ tłumy rozentuzjazmowanej publiczności. U nas bowiem mundur naszych wojsk stał się symbolem Niepodległości i jej utrzymania — jest więc dla nas może czemś więcej, niż zwykłym ubiorem polskiego żołnierza.

Zapytacie może teraz: pisałeś o mundurach — a gdzież właściwie ci mężczyźni? Pozwolę sobie również odpowiedzieć pytaniem: Czy mundur wojskowy nie jest najbardziej wyrazistym symbolem męskości i jej najistotniejszych i najlepszych cech?

A. C.



Polskie filmy ułańskie, w których występują nasi dzielni kawalerzyści, w nienagannie skrojonych mundurach, cieszą się wielkiem powodzeniem, zwłaszcza u płci pięknej. Na zdjęciu Witold Conti i Wojciech Ruszkowski w filmie p. t. „Śluby Ułańskie“.



John Loder w roli Fergana w filmie morskim p. t. „La Bataille“.

Francis C. Fuerst — Paris.



Maurice Chevalier, jako „wesoły porucznik“ austrjacki.



Clark Gable, jako włoski oficer prezentuje się doskonale.

# POTWÓR





Niezwykle realistyczne sceny z filmu francuskiego „Potwór“ (La tete d'un homme), w którym role główne grają: Harry Baur, znakomity aktor filmowy — mongoł Inkiszyniow, pamiętny z filmu „Burza nad Azją“, oraz Gina Manes.

Film ten cieszył się niezwykłem powodzeniem na ekranach kin francuskich. Ujrzymy go wkrótce i na naszych ekranach.

# „MELODJA WIELKIEGO MIASTA“.



*Eleanor Powell — najlepsza tancerka świata — kreuje główną rolę w filmie „Melodja wielkiego miasta“.*

*Fot. „METRO-FILM“.*



„Nauczyłam się tańczyć, aby się wyleczyć z nieśmiałości“ — powiada Eleanor Powell, nowa gwiazda M. G. M.

„Nie miałam zamiaru traktować tańca poważnie. Matka moja zapisała mnie do szkoły tańca poprostu dlatego, że uważała taniec za najlepszy sposób zabicia mego lęku przed ludźmi“.

„Teraz, gdy jestem w Hollywood, widzę, że matka moja miała słuszność. Metoda jej jest stosowana przez wszystkich reżyserów“.

„Wszystkie młode aktorki muszą uczyć się tańca dla dwóch przyczyn: 1) aby pozbyć się nieśmiałości i tremy, 2) aby nabrać wdzięku w chodzeniu“.

Oto słowa Eleanor Powell, gwiazdy filmu MELODJA WIELKIEGO MIASTA. Fenomenalna ta tancerka zaczęła tańczyć, gdy miała 6 lat. Dopiero w roku 1929 poznała tajniki tańca, zwanego „czeczotką“. W rok później zdobywa tytuł najlepszej tancerki na świecie.

Eleanor Powell ujrzymy w filmie „MELODJA WIELKIEGO MIASTA“.

W komedji tej obok wielkiej artystki występuje zespół gwiazd z Jackiem Benny i Uną Merkel na czele.

Czarujące melodje piosenek skomponowali znani autorzy przebojów, Nacio Herb Brown i Arthur Freed.

# ROZMOWA Z KAROLEM HUBERTEM ROSTWOROWSKIM



*Karol Hubert Rostworowski wśród członków Jury Konkursu Powieściowego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ podczas obrad Jury w salonie swego mieszkania na Salwatorze w Krakowie. Znakomity dramaturg i poeta jest przewodniczącym Sądu, do którego należą (na zdjęciu od lewej): Ludwik Szczepański, red. „Ilustr. Kuryera Codz.“; dr. Józef Flach, prezes Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich; red. Piotr Lot, jako referent Konkursu; dr. Stanisław Pigoń, prof. historji literatury polskiej na Uniw. Jag.; K. H. Rostworowski i Kazimierz Czachowski, krytyk literacki i historyk literatury.* **Ag. Fot. „Światowid“.**

Siedzimy w przemiłym, zacisznym salonie zapełnionym dziełami sztuki. Karol Hubert Rostworowski mówi żywo, podkreślając gestykulacją każde niemal wypowiedziane zdanie, każdą myśl. Gdy chce o czemś przekonać — przysuwa się do swego rozmówcy i niezwykle plastycznie rzeźbi gestem wypowiadane słowa, które wsączają się siłą zawartej w nich prawdy głęboko w mózg i zapładniają świeżością nowych pojęć i poglądów. Karol Hubert Rostworowski mówi przekonywująco i dlatego słuchałoby się go całemi godzinami. Zadaję przedewszystkiem pytanie, jak się czuje obecnie, chodziły bowiem niepokojące słuchy o poważniejszem zasłabnięciu poety.

— Jak się czuję? — panie drogi, lepiej o tem nie mówmy — to nieciekawy temat!

Rzucił te słowa z niezwykłą żywością, z pasją pełnego witalizmu człowieka, i momentalnie uspokoił mnie zupełnie. Trysnęła z oczu jego taka potężna wola życia, taka siła — iż przebiła gęstą powłokę ciała i wstrząsnęła mną poprostu. Od tej chwili nie mogę sobie wyobrazić Rostworowskiego choćby słabym tylko i nie uwierzę, gdyby mi kiedy o tem znów powiedziano. Karol Hubert Rostworowski jest człowiekiem mocnym i takim z pewnością pozostanie. A ludzie mocni zawsze zwyciężają — na każdym, najbardziej wrogim terenie i we wszelkich, najbardziej nieprzyjaznych warunkach.

— — — — — — — — — — —

Siedzimy w zacisznym salonie i rozmawiamy o sztuce i literaturze. Między innemi zadaję pytanie na temat konkursu powieściowego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“:

— Żyjemy w epoce przewartościowywania starych wartości i tworzenia nowych — w epoce, która rozpętała chaos poglądów i usiłuje zburzyć wszystko, by zbudować na miejsce tego nowy gmach myśli i uczuć. Czy zauważył pan w czytanych przez siebie powieściach jakiś nowy wiew, jakąś nową myśl — opartą o mocną, zwartą ideologję?

— Co to, to nie — brzmi odpowiedź — ale przewinęły się mi przez ręce dwie powieści, napisane z niezwykłym talentem. Jedna z nich — to kapitalne odtworzenie środowiska chłopskiego z doskonałą znajomością wsi i psychologji jej mieszkańca. Pisał ją prawdopodobnie ktoś bardzo inteligentny i wykształcony — i co najciekawsze, nie pochodzący przypuszczalnie z tego środowiska. Trzeba jednak przyznać, że świetnie orjentuje się we wszelkich przejawach świata wiejskiego i przemawia do nas realizmem nakreślonych postaci i stosunków. Drugie ze wzmiankowanych dzieł — to znów rzecz, napisana przypuszczalnie przez człowieka prostego ze sfer robotniczych — posiadającego może najwyżej jedną lub dwie klasy gimnazjalne. Napisana równie świetnie jak tamta, z tą tylko różnicą, że autor obrał sobie za temat szare, codzienne życie robotniczego domu w Łodzi, które przedstawił z jego wszystkiemi małemi, codziennemi troskami z niezwykłą prostotą i prawdziwością. Żadnych upiększeń, żadnego włażenia na piedestał, żadnej demagogji w rodzaju „nędzy robotniczej“, „zgnilizny burżuja“ — poprostu szary dom robotnika polskiego i jego życie, zaklęte w beznadziejną, szarą jednostajność — życie całkowite ze swemi troskami i radościami, nędzą i walką o byt.

— Konkurs przysporzył panom wiele pracy — pytam dalej — nadesłano bowiem podobno przeszło pięćset powieści?

— O, tak — pracy było wiele, gdyż muszę tu podkreślić, że zabieraliśmy się do oceny poszczególnych dzieł bardzo skrupulatnie i z poczuciem niezwykłej odpowiedzialności, jaka na nas ciąży. Każda powieść jest dokładnie czytana przez członków jury konkursowego, a po przeczytaniu dołącza się do każdej dokładną jej ocenę. Zabiera to wszystko naturalnie masę czasu — stąd opóźnienie terminu rozstrzygnięcia konkursu.

— — — — — — — — — — —

Mówimy dalej o sztuce. Rostworowski opowiada o swym „Jubileuszu“ — sztuce teatralnej, napisanej dla Solskiego — którą ten wielki artysta miał święcić swój jubileusz wieloletniej pracy dla polskiej sceny. Niestety — nagła niedyspozycja nie pozwoliła poecie dokończyć swego dzieła i dwa akty czekają na dalszych dwóch swych towarzyszy. Sztuka jest niezwykle ciekawa i oryginalna — jednak obowiązek dyskrecji nie pozwala mi na podanie bliższych o niej szczegółów. Bądźcie cierpliwi — z pewnością niezadługo ujrzycie ją na scenie — Karol Hubert Rostworowski nie umie być bezczynnym!

O t. zw. „wywiadzie“ zapomnieliśmy zupełnie. Rozmawiamy „dla siebie“ — tematy płyną, zaczepiają jedne o drugie, wywołują się wzajemnie. Rostworowski jest w swoim żywiole. Zapala się. Oczy — mądre, dobre oczy błyszczą ogniem jego niezwykłej inteligencji, ferwor dyskusji potęguje wyrazistość gestykulacji. Zaczepiliśmy przypadkiem o Niżyńskiego i poeta momentalnie niezwykle się ożywia:

— Niżyński!? — Panie drogi, to szczery talent! Widzi pan — „Trzy mgły“, to nie pierwszy utwór jego, jaki miałem sposobność poznać. Swego czasu bowiem przysłał mi on już jeden ze swych poematów do oceny. U Niżyńskiego pod skórą słów czuje się młodą, pulsującą gwałtownie krew rasowego poety i dlatego jestem niezwykle zadowolony, że mógł on się przyjrzeć samemu sobie dokładnie, patrząc na sceny swych „Trzech mgieł“ w krakowskim teatrze.

— Czy pan do tego przywiązuje jakąś specjalną wagę?

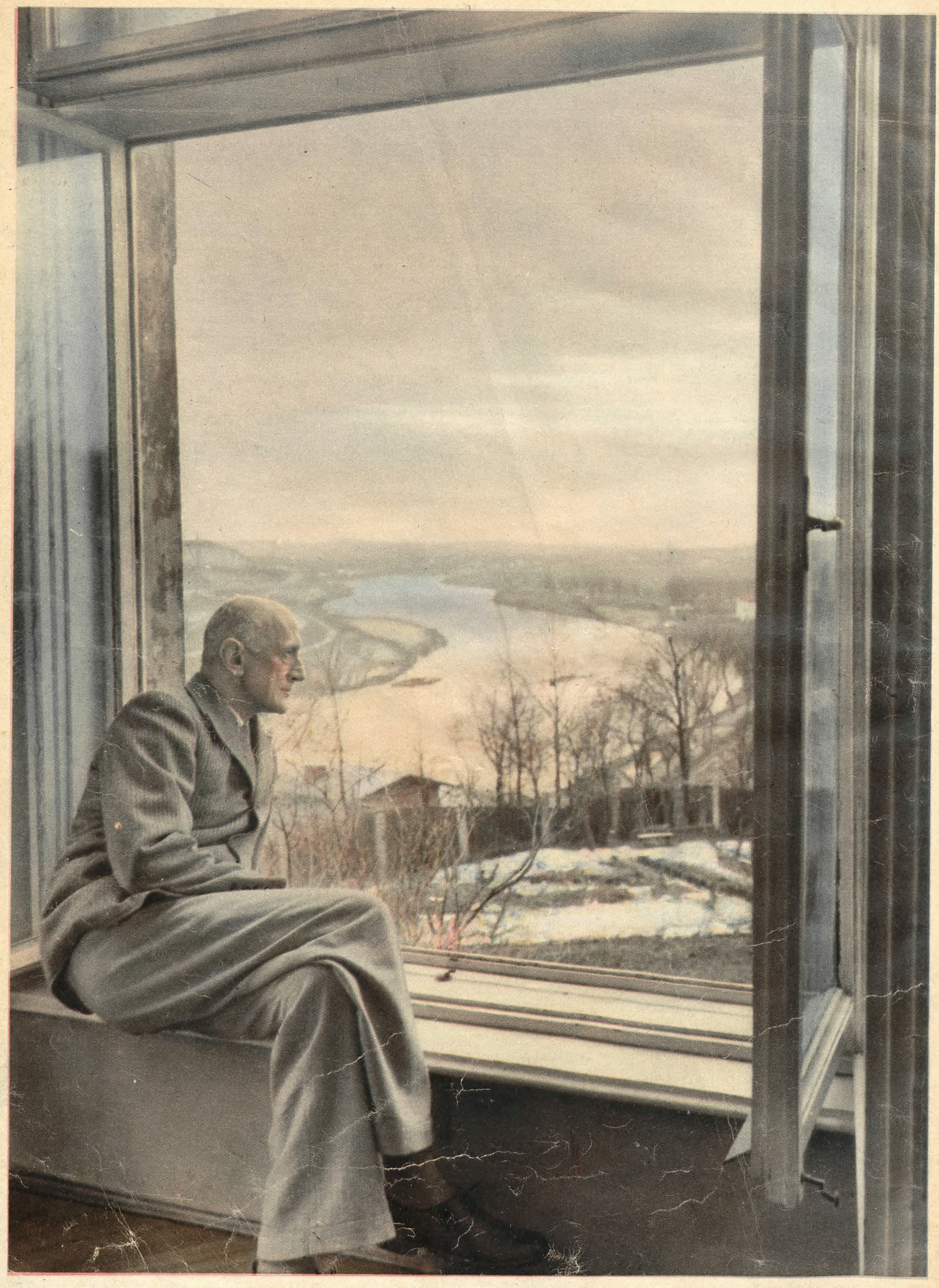
— Bezwątpienia tak! — brzmi mocna odpowiedź, podkreślona zamaszystym ruchem ręki. — Panie, dla autora patrzenie na własną sztukę jest wielką próbą ogniową, trzecim stopniem wtajemniczenia autorskiego. Pierwszy stopień — to próby, kiedy widzi budujący się gmach jego myśli, rozdrobniony skalpelem reżysera na drobniutkie, poszczególne scenki. Widzi wtedy swą sztukę jakdyby pod olbrzymim mikroskopem i może łatwiej wniknąć w jej istotne wartości i błędy — drugi stopień, to próba generalna — przedsmak tego, co się będzie działo na premjerze — możność oglądania swego utworu gotowego, żywego, przyobleczonego w skórę i kości dekoracyj, ludzi, inscenizacji. Trzeci wreszcie — to ta premjera i zmierzenie się oko w oko z krytyką — jeszcze wybitniejsze podkreślenie zalet, a co ważniejsze wad sztuki. Wtedy młody autor staje zwykle na rozdrożu. Jeśli jest mądry — wyciągnie z niepowodzeń naukę i pobudzi ambicję do wytężonej nad sobą pracy. Jeśli mądrym nie będzie — to nie będzie w przyszłości nowego autora. Ale Niżyński przypuszczalnie będzie mądrym...

— — — — — — — — — — —

Po półtoragodzinnej przeszło rozmowie opuszczałem dom Karola Huberta Rostworowskiego jakby odświeżony i z nieodpartem wrażeniem, że rozmawiałem z wielkim człowiekiem.

**Adam Cyprian.**

# SPOJRZENIE POETY NA ŚWIAT.



**Znakomity dramaturg i poeta Karol Hubert Rostworowski w oknie swego mieszkania na Salwatorze w Krakowie, skąd roztacza się widok na Wisłę. Bliższe szczegóły na str. 21-ej.** *Ag. Fot. „Światowid".*



**KUPON Nr. 52** *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 28-go grudnia 1935 r.*

# Z OPERETKI BYDGOSKIEJ.



*Finał operetki. Na pierwszym planie Marja Gabrielli w roli Judyty Peredy i Rychter, kreujący rolę arcyksięcia Stefana.*
*Fot. „Venus“, Bydgoszcz*

W Teatrze Miejskim w Bydgoszczy odbyła się ostatnio premjera nieznanego dotychczas w Polsce kompozytora węgierskiego, Michała Krasznay-Krausza p. t.: „Żółta lilja“. Do nieszablonowego libretta, osnutego na tle przeżyć miłosnych arcyksięcia Jana Salwatora (późniejszego Jana Ortha) skomponował Krausz muzykę, opartą na motywach przeważnie węgierskich, żywo i barwnie zinstrumentowaną, acz w pomysłach melodyjnych trochę bezceremonjalnie „zapożyczoną“. — Teatr bydgoski zdobył się na spektal pełen rozmachu i wystawności.



*Doskonała para baletowa, Irena Jedyńska i Jan Fabian w czardaszu.*
*Fot. „Venus“, Bydgoszcz*





## Puka Rok Nowy.
### Szarada.

(Ułoż. „Junona“ — Klub Szaradz. w Warszawie).

Puka Nowy Rok do drzwi,
ma **pięć-szóste** wieści.
Posłuchajcie co **dwa-trzy**
w przemówienia treści.
— „Bracia! Wszak od niejednego
już **trzeciego-dziewiątego**
wy czekacie **sześć** łzach tonąc
na „poprawę“ wymarzoną!
Przyjmujecie każdy rok
hucznie, pięknie, **siódmo-czwarto**
wierząc, że on zmieni tok
myśli, których mieć nie warto, —
wierząc, że się wszystko złe
zmieni wam na lepsze,
że wam Los uśmiechnie się
i zły czar odeprze!
A tymczasem wielu z was
stale się zawodzi!
Szczęście, gdy się zjawi raz,
znika wnet jak złodziej!
I mnie także witał gwar
i **raz-czwarte** wino;
każdy **dziewięć** mnie się darł
z pustą gadaniną!
Każdy **dwa-pięć** silił myśl
jak mnie skokietować,
bym począwszy już od dziś
Szczęście wam szykował.
Doskonale! Lecz wy co?
Czem się odpłacicie?
Jakie wasze czyny są?
Jakie wasze życie?
Jakiejże zasługi głos
**dwa-raz** was przedemną,
abym zwolnił was od trosk
i w blask zmienił ciemność?
Niedość się w Sylwestra upić,
by aż w **ósmym-trzecim** leżeć!
To za mało! Jam nie głupi,
by kieliszkiem chęci mierzyć.
Będzie dobrze! Na mą duszę,
klnę się, że Los spłaci dług!
Ja **siódmego** już przymuszę,
by nie gnębił was jak wróg!
W łaskach mych nie zrobię przerw,
dam wam skarby nieprzebrane,
lecz — wy bądźcie dobrzy wpierw,
to i ja się dobrym stanę!“

## Gwiazdka.
### Szarada.

(Ułoż. „KASTA“ — Klub Szaradz. w Warszawie).

Ileż się planów przed Gwiazdką przebiera,
jakież **trzy-tuzin-trzynaste** po kątach
(wszystkim dogodzić chęć się budzi szczera)
i **ósma wspak-jedenasta-dziesiąta**
swoich projektów, żeby duch radości,
pod naszym dachem choć w ten dzień zagościł.

•

Czy **dziesięć-sześć** się obmyślony prezent,
czy drobny zawód łzami się rozsypie,
czy obdarzony nie popatrzy zezem,
żalu za dar nie **jedenaście** i **pięć** —
kłopotów tyle! A takie przemiłe,
**osiem** jest szkoda, że się już skończyły.

•

Dzieci chwytają niepewne **raz-piąte**;
wietrzą, jak **siódme-dwa-trzynaste** czujne,
może się które **cztery-raz** pokątnie,
jakie **trzy-siódme** szykują im wujny, (wujenki),
**Ósmy-dziewiąty!** pod drzewko się zbiegą,
jakby po skarb **Wspak wtór-czwór-trzy-szóstego!**

(Dla ułatwienia podajemy w alfabetycznym porządku sylaby, wchodzące w skład rozwiązania: Bo, da, do, dze, je, le, na, nie, ra, ro, ści, wie, że.)

Za rozwiązanie powyższych dwóch zadań redakcja „Światowida“ przeznacza

**TRZY NAGRODY.**

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31. I. 1936 r.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 7 stycznia 1936 r. wraz z załączonym kuponem.

## Rozwiązanie z N-ru 49:

**SZARADA: Po złotej jesieni będzie łagodna zima.**

**REBUS: Z kotła europejskiego swąd idzie.**

## Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 49 nadesłali:

Filek z Baranowicz; Wanda S.; S. Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; kpt. Z. Rund, Bielsko; Wandzia Zerbstówna, Żabikowo; Marjanna Granuszowa, Poznań; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Kazimierz Szlezynger, Sosnowiec; Józefa Stulówna, Poznań; Marjan Gołębniak, Poznań; Wachulski Feliks, Jaworzno; Tadeusz Folwarczny, Jaworzno; Irena Jurczykówna, Jaworzno; Zofja Fiutkowska, Warszawa; Bronisław Morawski, Katowice; Władysław Nycz, Poznań; Jan Badura, Szopienice; Jadwiga Müllerowa, Choroszcz; Tadeusz Kawecki, Myszków; „Maryśka z Pohulanki“; **K. Podwysocki, Rembertów** (zł. 20.—); Janina Szeremetowa, Lwów; Józef Kucznik, Katowice; Rudolf Lipiński, Chorzów; W. Nosé, Anin; inż. Tadeusz Nycz, Szelków Nowy; Józef Urban, Targanica; Jerzy Zapiór, Kraków; Józefa Drabik, Warszawa; Antoni Ossowski, Miłosław; „77“, Poznań; Zb. Block, Poznań; **Stanisława Zaworska, Poznań** (zł. 10.—); Jan N. Maziarz, Ozorków; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; Władysław Filipiak, Poznań; Witold Goles, Monasterzyska; Eugenjusz Przybysz, Warszawa; Anna Loeglerowa, Lwów; Alfreda Świtkowska, Lwów; Karol Łukasiewicz, Brzeżany; Mary Piwowarczykowa, Borysław; Józefa Jamrowa, Borysław; Klub Pracowników „Gazoliny“, Borysław; Janina Skrzypczakówna, Ceradz Kościelny; Antoni Ossowski, Poznań; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Apolonja Askanasowa, Płock; **Jadwiga Rozbicka-Jakoniak, Warszawa** (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31. I. 1936); Antoni Plaskura, Andrychów; L. Ludwikiewiczówna, Łódź; Basia Staszakówna, Będzin; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Socha Leopold, Będzin; Leon Piechocki, Inowrocław; Czesław Błażejewski, Ząbki; Antoni Mieczkowski, Wilno; W. Ustaszewski, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Władysław Rodowicz, Wilno.

Nagrody otrzymali pp. K. Podwysocki, Rembertów (zł. 20.—); Stanisława Zaworska, Poznań (zł. 10.—), oraz Jadwiga Rozbicka-Jakoniak, Warszawa (prenumerata miesięczna „Światowda“ od 1—31. I. 1936).






SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

**Karnawał nadchodzi...**

